Nr. 13. Rok I.

We Lwowie 23. Grudnia 1882.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

„ZIARNO“ kosztuje:

W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**

„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczają się INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę, tak miejscową jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.
tudzież wszystkie księgarnie.

PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Nr. 13. We Lwowie dnia 23. Grudnia 1882. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Idea stowarzyszeń.

Wielcy działacze, którzy u schyłku zeszłego stulecia wysoko podnieśli sztandar „praw człowieka“ (droits de l' homme) i wyrazili je w znanem haśle: wolność, równość i braterstwo (liberté, égalité et fraternité) — z owej niepodzielnej trójcy najlepiej pojmowali i najgoręcej odczuwali, pierwszą jej osobę — wolność. W społeczeństwie skrępowanem więzami średniowiecznego porządku, pragnienie swobody i swobody przedewszystkiem osobistej, było uczuciem nader naturalnem, i zupełnie zrozumiałą potrzebą. Dalsze dwie zwrotki owego trójjedynego hasła słabo jeszcze pojmowano, o ile zaś stawały się one zrozumiałemi, odbijało się na tych pojęciach dominujące znaczenie pierwszego hasła. Równość pojmowano także, jako usunięcie różnych osobistych ograniczeń, ścieśnień i przywilejów, jako równość wobec prawa, gdy zaś i odczuwano dość niewyraźnie niedogodności i chropowatości istniejących stosunków społeczno-ekonomicznych, machano na nie ręką; ryczałtem wreszcie potępiono całą nowożytną cywilizację, i salwowano się aż do arkadyjskiego stanu natury. Braterstwo pojmowano sentymentalnie, jako panowanie wybaczającej wszystko i godzącej się ze wszystkiem miłości — a i tej najlepiej jakoś było w owym stanie natury.

Dalszemu biegowi wypadków i głębszemu wmyśleniu się w stosunki społeczne późniejszych działaczy, pozostawione było lepsze zrozumienie dwu haseł ostatnich. Życie samo i dalszy rozwój stosunków społecznych zrozumienie owe coraz bardziej ułatwiały, i czyniły je coraz bardziej dokładniejszem. Gdy względna przynajmniej wolność zapanowała wewnątrz państw i społeczeństw, faktyczna nierówność, przedewszystkiem ekonomiczna tem wyraźniej wystąpiła na plan pierwszy. Sama zresztą wolność i swoboda najpełniej może urzeczywistniona w stosunkach ekonomicznych, w gronie posiadaczy, wspierała coraz skuteczniej potęgowanie tej nierówności, a kapitał i połączone z nim osobiste przywileje ekonomiczne, zaczął szybko nader gromadzić się, wzrastać, i coraz bardziej wszechwładne zajmować stanowisko.

Pozbawione tego przywileju jednostki, coraz lepiej zaczęły spostrzegać, jak szybko zwiększa się przedział między posiadającymi i nieposiadającymi, i jak złudną w takich warunkach staje się sama owa wymarzona swoboda nieposiadających i nieuprzywilejowanych...

Niezmordowana myśl ludzka nie przestała doszukiwać się przyczyn tego stanu i szybko dość spostrzeżono, że owa upragniona równość winna być przedewszystkiem nie prawną tylko, lecz i ekonomiczną, i że wtedy dopiero i pierwsze hasło — swoboda znaleźć będzie mogło faktyczne zastosowanie. Przy takiem pojmowaniu rzeczy, i czułostkowe pojęcie braterstwa zyskało realniejszy swój wyraz w pojęciu solidarności (solidarité) wszystkich, dalszym rozwojem stosunków pokrzywdzonych, a więc nieuprzywilejowanych, nieposiadających, a pracujących.

Niełatwy proces rozwoju owej trylogii zajmuje cały wiek nasz obecny; z przebiegiem jego związane są ściśle wszystkie zawody i nadzieje naszego stulecia — na tem tle rozwijały się i rozwija dotąd całe pasmo stosunków wewnętrznych, i rzecz się o tyle wypełniła i dojrzała, że miejsce fantastycznej dość swobody jednostek, zajęło pojęcie swobodnego i solidarnie zorganizowanego społeczeństwa ludzi, nie fiziologicznie i psychicznie, lecz ekonomicznie i społecznie równych, lub raczej w równych warunkach pracy i działania postawionych.

Przedstawiliśmy, o ile można, zwięźle cały przebieg tej najżywotniejszej dziś sprawy ludzkiej, ażeby stworzyć sobie ra

w których pomieszczą się wszystkie zadania społeczne, i zająć stanowisko, z którego jedynie można dziś na nie z pełną słusznością spoglądać.

W poglądach należy być ścisłym i zwięzłym — stosunki jednak ludzkie nie rozwijają się, jak pojęcia, po linii najmniejszego oporu, i nie tak ogólnikowo, jak niewzruszone formuły algebraiczne. Szematyczny szkielet rozwoju istnieje tylko w pojęciu, życie zaś przynosi nam nieskończoną rozmaitośc objawów, które mają nie tylko szkielet, lecz krew, nerwy i mięso, co nadaje taką barwność zmiennemu tokowi społecznych i dziejowych wydarzeń.

I idee przytem nie wyskakują gotowe, jak Minerwa z głowy Jowisza, lecz odbywają mozolny dość, uwarunkowany naturą ludzką i otaczającemi stosunkami szybszy lub wolniejszy proces swego powstawania i rozwoju.

To więc, co przedstawiliśmy jako formułę niezmienną niejako, tworzyło się, snuło i uzupełniało, na mniej lub więcej przyśpieszone tępo, i mniej lub więcej przygodnie.

Jako remedium i przeciwdziałanie szybko rozwijającemu się egoistycznemu kapitałowi osobistemu, powstała w głowach niektórych głębszych myślicieli idea assocjacyi, stowarzyszeń. Idea ta podówczas była zupełnie nową, nie trzeba bowiem zapominać, że powstała ona wtedy, gdy wszelkie związki i korporacje potępiono w zasadzie stanowczo, jako średniowieczny zabytek, i kiedy wszelką solidarność zbiorową uznano za więzy, krępujące wolną jednostkę.

Idea więc była nową i narodziła się oczywiście przedewszystkiem w głowach ludzi, pozbawionych „praktycznego zmysłu" i „zdrowego rozsądku", w głowach „marzycieli", „idealistów" i zwolenników wszelkiego rodzaju „utopii".

Takimi marzycielami u schyłku zeszłego i w początku bieżącego stulecia byli: Saint-Simon, Owen i Fourier, że pominiemy ideologów drugorzędnych.

Idea stowarzyszeń, dojrzewając jako pojęcie, szukała zarazem dróg do realnego wcielania się w życie. Poczęto zawiązywać różne towarzystwa i stowarzyszenia pomocy wzajemnej, stosując je do różnych celów życiowych, bądź to ekonomicznych, bądź humanitarnych jedynie. Zrehabilitowana i odrodzona w ten sposób myśl związków społecznych, napotykała niejednokrotnie na pewne pozostałości dawnych, zeszłowiekowych korporacyjnych zabytków, które już przetwarzano według nowych wzorów, już to pozostawiono w spokoju, jako skamieniałe rudymenta dawnych formacyj, na które jednak z mniejszą już teraz zaczęto spoglądać nienawiścią i uprzedzeniem.

Najłatwiej zahaczały się o dawne asocjacyjne zabytki, towarzystwa pomocy wzajemnej z celami więcej humanitarnemi, i związki korporacyjne natury fachowej.

Zastosowanie idei stowarzyszeń do produkcji, spożycia, handlu i w ogóle do całego obecnego systemu produkcji i konsumcji, musiało oczywiście natrafiać na największe trudności, i dotąd jeszcze nie znalazło zadowalniającego rozwiązania, nawet w teorji. I nic dziwnego. Cały dzisiejszy kapitalistyczny ustrój produkcji obcy jest zupełnie zasadzie stowarzyszeń pomocy wzajemnej, ustrój ten zaś rozwinął się tak silnie, że wszelkie prawie dotąd współubieganie z nim nowej asocjacyjnej organizacji, okazało się mało owocnem. Uciekano się do różnych środków. Gdy sama pomoc wzajemna, samopomoc (Schulze-Delitsch), okazywała się niedostateczną i zbyt słabą, uciekano się, jak Lassalle, do zasady pomocy państwowej, subwencji itd.

Jeżeli jednak stowarzyszeniom trudno było dotąd współzawodniczyć z rozwiniętą, kapitalistyczną produkcją fabryczną, to pozostało dostępniejszem dla nich dość jeszcze obszerne pole, nie zajęte dotąd przez wielką produkcję, dziedzina drobnego przemysłu i rękodzieł. O ile urzeczywistnieniu idei stowarzyszeń w tym zakresie nie stanął na zawadzie, nie tylko już brak specyalnych wiadomości, lecz poprostu brak elementarnej oświaty, brak dalej pewnej wytrwałości, energii, znajomości rzeczy, a wreszcie brak szczupłych choćby zasobów — zdołała ona mniej lub więcej szczęśliwie przyjąć się w tej ekonomicznej dziedzinie.

Mając na względzie rzemiosła i rękodzieła, zastosowano ją do stowarzyszeń dla zakupu surowych materjałów i magazynowych, w części zaś do produkcyjnych. Na zachwaszczonym gruncie drobnego przemysłu nie łatwo przychodzi się rozwijać stowarzyszeniom, tam jednak gdzie stojące im na zawadzie, przeszkody przełamano, zdołały one nie tylko przynieść bezpośrednią korzyść drobnej produkcji, lecz wsparły ją znakomicie w konkurencji z produkcją fabryczną.

Jak dalece stowarzyszenia wyrosłe na gruncie drobnej produkcji przemysłowej, konkurować dziś mogą z wielką produkcją fabryczną — pytanie to należy do nader interesujących i mało rozpatrzonych zagadnień ekonomiczno społecznych. Biorąc rzecz ekonomicznie tylko i technicznie, nic nie stoi na przeszkodzie, ażeby stowarzyszenia drobnych rękodzielników lub robotników, pozyskały w drodze assocjacyi to wszystko co wielka produkcja fabryczna posiada, dojść bowiem w tej drodze można i do fabryk — obok jednak technicznych, stoi temu na przeszkodzie wiele innych trudności, a przedewszystkiem brak szerszej oświaty, umiejętnego kierownictwa, brak dostatecznych zasobów i niemożliwa wskutek tego konkurencja z wielką kapitalistyczną produkcją fabryczną.

Gdyby jednak szkopuły te szczęśliwie przezwyciężono, ujrzelibyśmy, jak wielką potęgę rozwinęłaby praca stowarzyszona, oparta na samorządzie, ogniskującym się w małych grupach i szerszych związkach, na wspólnem posiadaniu środków produkcyi i słusznem wynagrodzeniu za pracę, stosownie tylko do jej ilości i jakości. Podobnie zorganizowana działalność produkcyjna potrafiłaby pod koniec przezwyciężyć i tę największą przeszkodę, jaką sprawia współzawodnictwo, tanim robotnikiem, rozporządzającej produkcji indywidualistycznej, i zupełnie ją z czasem usunąć.

Idea stowarzyszeń, stosowana jako zjednoczenie na zasadzie pomocy wzajemnej sił drobnych, najłatwiejsze i najszersze znalazła zastosowanie w sprawach kredytowych. Powstałe, za inicjatywą Schulzego z Delitsch towarzystwa zaliczkowe, oparte na pomocy wzajemnej, rozwijały się w początkach szóstego już dziesiątka naszej doby, nader pomyślnie, i oddały już dotąd niepoślednie usługi produkcji rękodzielniczej i kredytowi osobistemu, rugując rozpanoszoną w tych zapuszczonych dziedzinach ekonomicznych — lichwę. Zastosowanie zasady stowarzyszeń do kredytu przeszło już wszelkie próby, i nie potrzebuje szczegółowego udowodnienia.

Nie jesteśmy zdania, że tam szczególniej, gdzie rozwinęła się już potężnie fabryczna produkcja kapitalistyczna, istniejąca i szczepiona równolegle produkcja asocjacyjna, może skutecznie i powinna iść z pierwszą o lepsze, nawet przy silnej pomocy z zewnątrz, byłoby to bowiem chcieć wytworzyć dwie równolegle istniejące i współzawodniczące produkcje.

Idea jednak asocjacji jest o tyle potężną i tak wybitnie społeczną, t. j. zgodną z naturą społeczeństwa, że umiała ona utorować sobie drogę i do tej twierdzy, która jej się dotąd z powodzeniem opiera, umiała przeniknąć i w sam dzisiejszy ustrój ekonomiczny. Dostała się zaś tam w dwóch postaciach, raz jako zjednoczenie, nie ludzi, lecz kapitałów, czego coraz liczniejsze mamy przykłady w stowarzyszeniach i spółkach akcyjnych — powtóre, jako kooperacja pracy, wiadomo bowiem, że wielkie przedsiębiorstwa fabryczne mają to do siebie, że wymagają zjednoczenia znacznej liczby pracujących, przy uwzględnieniu podziału pracy i zajęć.

Nie tylko zresztą temi drogami wsiąka idea stowarzyszeń w dzisiejszy ustrój ekonomiczny. Robotnicy fabryczni skooperowani dziś przy pracy, łączą się przytem w zbiorowe korporacje fachowe. Gdzie zaś takowe istnieją wytwarza się wzajemne równoważenie dwóch czynników produkcji: kapitału i pracy. Przedsiębiorcy zresztą także wiążą się w korporacye. Obok fachowych syndykatów, złożonych z majstrów, lub przedsiębiorców fabrycznych, jak we Francji, stają syndykaty robotnicze, lub trads unions, jak w Anglii. Pomiędzy temi stronami zachodzą spory, starcia, wybuchają bezrobocia i bunty, istnieją jednak i sądy rozjemcze, „conseils de prudhommes", które umożliwiają układy wzajemne, — tam zaś gdzie te układy doprowadziły do przyznania robotnikom udziału w zyskach, produkcja indywidualistyczna przemienia się powoli i nieznacznie w zbiorową, assocjacyjną, kto bowiem ma prawo do udziału w zyskach, tantjemy, ten jest już współwłaścicielem, akcjonarjuszem, a jako taki ma znowu prawo kontroli i wyboru zarządu; gdzie zaś naturalny bieg rzeczy doprowadza do takiej konsekwencji, nie ma indywidualnego przedsiębiorcy, jest tylko co najwyżej wielki akcjonaryusz; postępując jeszcze krok dalej po tej drodze przychodzimy do stowarzyszeń, opartych na solidarnej pomocy wzajemnej, które przyjmują maximum udziału, i zasadą których jest demokratyczne zrównanie praw tam, gdzie odpowiedzialność jest już solidarną i równą.

Zaszczepiona w ten sposób idea stowarzyszeń w łonie dzisiejszego ekonomicznego systemu, nie zaniedba rozszerzyć się w nim coraz wyłączniej i coraz szerszy sobie zakres wywalczyć, torując w ten sposób drogę do pełnego urzeczywistnienia w życiu społecznem trzech wielkich haseł: wolności, równości i solidarności. *E. P.*

Intratna posada.

Nowela.

Napisał W. I. Wdowiszewski.

(Dokończenie).

Gdy w chwilę potem z gabinetu burmistrza wyszedł sekretarz z Tadeuszem, twarz młodego człowieka była poważna, tylko koło ust igrał mu uśmiech pół wesoły, pół smutny, a usta same drżały nerwowo...

— Stójkowy! zawołał sekretarz na sługę policyjnego—przyprowadzić mi dorożkę. Jedziemy na cmentarz...

Stójkowy pobiegł wypełnić rozkaz.

— Oddam panu książki, wprowadzę w czynność i będziesz pan instalowany.

— Pozwoli pan sekretarz napisać kilka słów do rodziny. Przyjęty obowiązek nie dozwoli mi być w domu przed wieczorem, a chciałbym rodzinę uspokoić z powodu mojej nieobecności.

— Siadaj pan i pisz. Tam na biurku est papier i koperty.

Tadeusz pisał.

„Kochana mateczko! Los nam się uśmiechnął. Po zmarłym dziś urzędniku magistrackim, otrzymałem bardzo dobre miejsce. Dni głodu i chłodu skończyły się. Przybędę dopiero wieczorem i więcej opowiem... Twój kochający syn Tadeusz".

Zakopertował list i zaadresował, a sekretarz wsiadając z Tadeuszem do dorożki, powierzył list ten stójkowemu dla doręczenia według adresu... O tem, że Tadeusz został grobarzem, dotąd prócz burmistrza i sekretarza nikt jeszcze nie wiedział.

— — — — — — — — — — —

Tadeusz wieczorem wracał do domu. I on innym jak wczoraj wracał, i inne go czekało przyjęcie. Wprawdzie lampka świeciła tak samo mdło i niewyraźnie, ale za to na twarzach domowników był blask, który rozświecał półmrok izdebki. Nie panowała w niej także ponura cisza, ale spokojna choć cicha rozmowa. Będący w izbie nie mogli cieszyć się głośno, bo obok nich leżało dwoje ukochanych, którzy dnia radości nie dożyli.

Mimo jesiennego chłodu, powracający Tadeusz spocony był, spracowany fizycznie, ale wchodząc miał twarz spokojną, radosną nawet. Dzieciaki nie dały mu dojść do matki, uczepiwszy się zaraz przy dzwiach jego kolan... Wyswobodziwszy się z objęć malców, Tadeusz podszedł ku matce, i obie jej ręce do ust poniósł.

— Matko! matko! Jaki ja szczęśliwy! — To było całe jego powitanie. Głos jego drżał, mimo wysilenia, aby się zdawał wesołym.

— Niech cię Bóg błogosławi moje dziecko — załkała matka całując syna w czoło; — należało ci się szczęście. Wprawdzie świetniejszą pozycję marzyłam dla ciebie — ale widać nie było przeznaczenia. Idźno do Jadzi, ona ginie z ciekawości...

Podszedł ku dziewczynie Tadeusz i pałającą jej twarzyczkę do piersi przycisnął.

— Dla was moi drodzy, zrzekł bym się najświetniejszych widoków na przyszłość... Nie narzekajmy, bo mamy zapewniony byt i byt dobry. Teraz ja drugi wasz ojciec nie lepszy jak tamten — wskazał ręką na zmarłego — ale szczęśliwszy...

Chwilę trwało milczenie po uroczystych słowach Tadeusza. Przerwała je matka.

— Opowiadajże nam przecież, jakim sposobem dostałeś miejsce.

— Najprostszym w świecie. Byłem w magistracie, gdy przyszła wiadomość o śmierci mojego poprzednika. Z pomocą sekretarza uzyskałem to miejsce od burmistrza i cała parada.

— A cóż to za posada? zapytała matka.

— Jakby to mamie powiedzieć... Manipulacyjna.. administracyjna — prowadzenia wykazów, książek... Wprawdzie pracy będzie po uszy, ale bo też i płaca dobra. Nie żal rąk przyłożyć, bo posada bardzo intratna...

— Intratna posada? Naprawdę?

— Co się zowie!.. Dość mamie powiedzieć, że kupcy dowiedziawszy się o jej objęciu, na wyścigi otwierają mi kredyt. Wiedzą, że z godziwemi dochodami ubocznemi mogę mieć koło 3000 reńskich rocznie...

— Matko najświętsza! A to dopiero szczęście!.. zawołała matka. Widzisz Tadziu, co to znaczy, jak człowiek ma szkoły. Zaraz inne uważanie!.. Boże mój miłosierny! coby to z ciebie mogło być, gdybyś był dalej poszedł na akademję... Pan!..

— Moja matusiu, tymczasem byście się morzyli głodem.. Lepiej przyjąć co Bóg dał. Wracając do domu, kupiłem różnych rzeczy. Zaraz tu posługacz przyniesie kosz z wiktuałami i pakiecik... Macie chłopaczki na początek ciepłe buciki, mamie sprawiłem płaszcz — Jadzi pled doskonały. Powoli sprawimy więcej rzeczy potrzebnych, a przedewszystkiem wyniesiemy się z tej zatęchłej, niezdrowej dziury. Tyleśmy tu nędzy przeżyli!..

Ledwie tych słów domówił, drzwi się otwarły i wszedł posługacz z koszem i pakietem. Odebrano od niego sprawunki. Dzieci rzuciły się przedewszystkiem na świeże bułki. W tej chwili buciki były dla nich rzeczą podrzędnego znaczenia. Tadeusz okrywał pledem nogi Jadzi, a matka uśmiechając się przez łzy, przymierzała płaszcz i próbowała dobroci materji — dziwiąc się w duchu rentowności posady, która jej synowi dozwalała sprawić starej matce takie eleganckie okrycie. Jeszcze Tadeusz nie wyładował z kosza wszystkich sprawunków, gdy drzwi znów się otwarły, i do izby wszedł majster, a za nim dwóch ludzi wniosło trumnę i trumienkę...

— Niech będzie pochwalony! pozdrowił stolarz

— Na wieki wieków!..

I cisza zaległa izdebkę. Na twarzach ożywionych przed chwilą radośnie, osiadł

smutek; w oczach każdego członka rodziny pojawiły się łzy...

— A co? Stawiam się w słowie... prawda? Ja tak zawsze... Powinszować... pani pisarzowo — tęgiego macie syna... To mi człowiek!.. Umie pracować... nie wstydzi się pracy.. Choć szkoły kończył, a przestaje na prostym uczciwym zarobku... Nie zazdroszczę mu, co prawda...

Tadeusz zmięszał się widząc, że matka ze zdziwieniem słuchała niezrozumiałych dla niej słów majstra.

— Jakto nie zazdrości ma'ster? zapytała.

— Bo choć to intratna posada, ale przykry chleb...

— Ależ, panie majster, gdzież tam — starał się rozmowę na inny przedmiot zwrócić Tadeusz.—Można się przyzwyczaić...

— Nie rozumiem was — odezwała się matka — jakbyście po turecku mówili. Tadziu, ty coś kryjesz przedemną...

— Bynajmniej kochana mamo... Macie tu na piwo chłopcy — zwrócił się do terminatorów — a niech który jutro przyjdzie zabić wieko...

Tadeusz gorączkowo wyprawiał stolarczyków — w ruchach jego była gorączka, a ile razy spojrzał na matkę, drżał cały. Mówił byle mówić.

— Ładnieście ulakierowali trumnę panie majstrze...

— Jak umiałem... Za to mi pan kiedyś ładne miejsce na grób wybierze... powiedział śmiejąc się stolarz.

— Co majster plecie! oburzyła się matka.

— Moja mateczko droga, nie irytujcie się i nie gniewajcie... To moja wina, żem odrazu nie powiedział mamie całej prawdy. Zostałem... zarządcą... cmentarza...

Wdowa wypatrzyła się ogromnemi oczami na mówiącego — potem skoczyła do tapczanu, podniosła prześcieradło okrywające umarłych, a wstrząsając z całych sił trupem męża, krzyknęła przeraźliwym głosem:

— Stary! Słuchaj! Tadzio został grobarzem!.. roześmiała się strasznie i osunęła na podłogę...

W przeciwnym kącie izdebki rozpłakała się Jadzia, a dzieci potrwożone pochowały się za jej fotel... Tadeuszowi zakręciła się łza w oku, ale ją stłumił i pobiegł do matki. Położył ją na drugim tapczanie — poszukał pulsów, a że biły jeszcze, krzyknął na stolarza:

— Panie majstrze, na miłość boską biegnijcie po doktora... Mieszka w trzecim domu... Ten młody!..

— Wiem wiem! Wrócę z nim pewnie Wybiegł.

— Więc to prawda mój drogi, żeś został grobarzem? spytała z za łez siostra, cicho, łagodnie.

— Prawda Jadwigo!... A najpierw pogrzebałem marzenia o świetnej przyszłości.. Wszakże mi nie utrudnisz zadania obecnego?

— Nie, mój drogi... Ja cię rozumiem!..

— Gdyby mnie jeszcze serce matki zrozumieć chciało!.. westchnął Tadeusz trzeźwiąc matkę. Na czoło jego występowały krople potu, czuł że pulsa biły u niej coraz słabiej...

Nareszcie wszedł za majstrem młody doktor. Pokazano mu leżącą na tapczanie, i opowiedziano wypadek.

Zbadał ją i po chwili powiedział cicho:

— Jestem już zbyteczny...

— Dzieci, dzieci, drogo kupiłem wam kawałek chleba!...

Z temi słowami na ustach — ukląkł Tadeusz przy zwłokach matki, i rozpłakał się jak dziecko...

* * *

Przed dwoma miesiącami, w dżdżysty dzień październikowy, około godziny czwartej po południu, zadzwoniłem u drzwi małego domku, stojącego w ogródku, o kilkadziesiąt kroków od cmentarza. Wskazano mi, że w nim mieszka grobarz. Przyszedłem zamówić grób dla jednego z moich przyjaciół.

Na odgłos dzwonka wybiegła służąca i poprosiła do pokoju. Wszedłem.

Owiało mnie przyjemne ciepło pomieszane z zapachem kwiatów. Znajdowałem się w bardzo eleganckim saloniku, a powitała mnie piękna, młoda kobieta, siedząca z robótką w ręce opodal okna, na fotelu. Nogi miała okryte szalem.

— Niech pan będzie łaskaw zaczekać chwileczkę. Brat wróci za kwadrans. Pojechał po dzieci do miasta — przywieść je ze szkoły.

Zapowiedziany kwadrans minął mi nader szybko wśród ożywionej rozmowy, nie spostrzegłem jak przed dom zajechała dorożka.

Do pokoju wbiegło trzech tęgich chłopców, ubranych w ciepłe zimowe płaszczyki. Wszyscy po kolei biegli do siostry i witali ją pocałunkami. Każdego z nich pytała łagodnie:

— Jakże tam z cenzurą dzisiaj?

— Dobrze, niech Tadeusz poświadczy — zapewniało każde z dzieci, oglądając się ku drzwiom.

I ja tam spojrzałem. Stał przy drzwiach młody, przystojny, silnie zbudowany mężczyzna, i milcząco przypatrywał się scenie powitania. Na twarzy miał dziwnie pociągający uśmiech rozradowania.

Był to „pan grobarz". Z wszystkiego było widać, że w domu jego panowało szczęście, że posada była intratną...

Dlaczegoż kiedy niekiedy po twarzy jego przebiegał dziwnie bolesny uśmiech? Dlaczego nieraz usta jego drżały kurczowo?..

Dlaczego?..

Sanok w Listopadzie 1882.

Ballada o chłopcu na stepie

Fryderyka Hebbla.

Śnił chłopiec, że pan go wyprawił na step,
Miał w torbie trzydzieści talarów i chleb,
Szedł spiesznie nie tracąc ni chwili,
Lecz zbójcy go w drodze zabili.

Widziadło to jeszcze nie pierzchło, gdy w tem
Przebudza pan dziecko dręczone złym snem.
Powstaje chłopczyna znużony,
Pan pyta czem jest przerażony.

„Ach panie! ach panie! przeczuwam twój gniew!
Dziś słońce na niebie czerwone jak krew!"
„Dość gadań! gdy nie masz ochoty
Mnie słuchać, wnet pójdziesz w obroty!"

„Ach panie! ach panie! okropny mój los!
To była twarz twoja, twój wzrok i twój głos!
Tyś schwycił..." Zmilkł chłopak jak wryty,
Co? nie rzekł i został obity.

„Ach panie! ach panie! już idę, bądź zdrów,
Lecz matce mej powtórz te kilka mych słów:
Gdy szukać mnie będzie po świecie,
Pod wierzbą odnajdzie swe dziecię!"

„Marsz w drogę!" Po drodze szeroko i wzdłuż
Step straszny, siedziba zawieruch i burz.
W pospiechu się chłopiec nie leni:
„Krok każdy niech w tysiąc się zmieni!"

Tak cicho, tak głucho i w okół i w szerz,
Nie ujrzysz człowieka, drzew domów i wież,
Z chmur tylko zgłodniałe mkną ptaki,
By chwytać w powietrzu robaki.

Stał domek samotny pasterza wśród błoń
I chłopiec w podróży przybliżył się doń,
I przestrach się jego wzmógł srodze,
Przystanął przez chwilę na drodze.

„Pasterzu! tyś dobry człek! wesprzeć mnie chciej!
Ot cztery srebrniki w torebce są mej,
Każ komu ze swojej czeladzi,
Do wioski niech mnie doprowadzi."

„Groszaki te dam mu. Niech za nie w dniu świąt
Napije się piwa... lecz pragnę pójść stąd.
Z pieniędzmi chcę rozstać się wcześnie,
Bo za nie zabito mnie we śnie."

Gospodarz zawołał, wszedł jeden ze sług
I zmierzył chłopczynę od głowy do nóg;
Był rosły i ręce miał duże,
Aż chłopca mróz przeszedł po skórze.

„Ach panie pasterzu, dziękuję już wam,
Nie trzeba mi sługi, pójść mogę i sam!“
Drab na to rzekł z miną złośliwą:
„Groszaków żałuje na piwo!“

„Więc macie groszaki!“ I rzucił je wnet
I zwrócił się szybko i spiesznie w step szedł.
Do Wierzby już droga niedługa,
W tem nagle dogonił go sługa.

„Nie spiesz tak, ustaniesz, zabraknnie ci tchu,
Dzieciaku, powoli, odpocznij no tu.
Zapewne ci ciężą, mój synku,
Pieniądze, więc użyj spoczynku.“

„Choć, usiądź pod wierzbą, opowiedz mi ten
Sen brzydki, bo widzisz, jam także miał sen,
Niech piekło mnie porwie żywego,
Jeżeli inakszy od twego!“

I wiedzie chłopczynę pod wierzbę na błoń,
A chłopiec sił nie ma, by wyrwać mu dłoń,
Wiatr w stepie tak wyje rozgłośnie,
A strumyk tak szemrze żałośnie.

„Więc gadaj co śniłeś dziś? — Człowiek to był. —
„Ja może? Patrz na mnie, czyś o mnie dziś śnił?
Bo mnie się o tobie marzyło!
No, mówże jak dalej tam było?“

„Wydobył on noża.“ — „Takiego jak ten?“
„Ach! tak! tak!“ — Wydobył i...“? „Pchnął mnie [przez sen.“
„I pchnął cię? trysnęła krew strugą?
I pewno nie męczył cię długo?“

Pytacie co dalej?.. Odpowiem ja wam,
Spytajcie dwóch ptaków, co były wciąż tam.
Kruk wielce był rad ze zdarzenia,
A gołąb aż słabł z przerażenia.

Kruk powie, co zrobił zły człowiek wśród błoń
I jaką po strasznym tym czynie czuł woń,
A gołąb, jak w stepie na błoni
Chłopczyna się modli, łzy roni...

Wł. Sabowski.

Lady Barcker.

(Kobieta geograf.)

Lady Barcker należy do licznego rzędu kobiet angielskich, które, dzięki urzędowemu stanowisku swych mężów, mają sgosobność osobiście poznać poza-europejskie posiadłości Anglii. Jest ona, że tak powiemy, typem angielki-kosmolitki, w najlepszym znaczeniu słowa tego. Dzieckiem będąc, bawiła się w gajach i lasach Jamajki, następnie u podnóża gór Himalajskich, dalej w Nowej Zelandji i innych tym podobnych krajach. Dzieło jej o Nowej Zelandji, czyli raczej „o mojej ślicznej Zelandji“, jak się zwykle o niej wyraża, zyskało wielkie pochwały Jest w niem wszystko; autorka z równą przyjemnością opowiada o domowych kłopotach swoich, o kuchni, sługach i dzieciach, jak i o silnem wrażeniu, wywartem na nią przez kraj, dotąd prawie dziewiczy. Gdzieby ją losy nie rzuciły, wszystko stara się poznać, zgłębić i opisać, przyczem styl jędrny i prosty, idzie o lepsze z ni pospolitym darem postrzegawczym, jakim się odznacza.

W ostatniem swem dziele „Rok życia w Południowej Afryce“, lady przenosi nas do „cudnego Natalu“, w którym niedawno jeszcze stoczono tyle walk krwawych to z Zulusami, to znów z Basutosami lub Boerami. Dziś ten kraj spokojny. Autorka opisuje naturę jego, a dalej życie domowe i społeczne tamtejszych plemion w kolorach tak żywych, że zdaje się, iż się widzi Natal własnemi oczyma.

Podróż z Indji do Natalu była bardzo uciążliwa, szczególnie dla kobiety, obarczonej dwojgiem dzieci, z których jedno ma zaledwie lat kilka. Na morzu panowały nieustanne burze. Gdy nareszcie przybyła do Natalu, był już listopad. Jest to miesiąc „uroczej“ wiosny dla kraju tego, następującej po zimie „suchej“, podczas której Natal wygląda, jakby spowity w nieustannych kłębach czerwonego kurzu. Natal podczas wiosny wygląda jak jeden kobierzec kwiatów i traw. Trawy bardzo wysokie, ale za to, wyjąwszy skalisty grzbiet gór w zachodniej stronie, nigdzie nie ma lasu. Rośnie tam wprawdzie drzewo kauczukowe, przeniesione z Australji, lecz nędznie wyglądających i niewielkich kupek jego, nie sposób nazwać lasem. Spotyka się również różne gatunki dębu karłowatego, a dalej wierzby płaczące rozsiane z rzadka nad brzegami rzek. Główne miasto Maritzburg, zbudowane na płaskowzgórzu wysokiem, robi wrażenie ciszy.

Ze sto domów, kilka ulic — ot i cała stolica. Ulice długie, szerokie, przecinające się pod kątem prostym, po bokach obsadzone drzewami tak, że patrzącemu zdala, wydaje się miasto dość malowniczem. Ale tylko zdala; wstąpiwszy bowiem doń, urok wnet znika. Maritzburg nie posiada literalnie ani jednego pięknego budynku, a ulice jego, pogrążone w ciągłym jakimś lekkim półmroku, wtedy tylko ożywiają się nieco, przedstawiając jednocześnie oryginalny widok, gdy przybędą kafrowie z furami zabierać towary w głąb kraju. Podczas zimy transporty zupełnie ustają, a to z powodu braku paszy dla wołów, któremi się posługują kafrowie, zaprzęgając do każdej fury nie mniej jak po dwadzieścia. Woły tak chude, że pojąć trudno, jak są zdolne trzymać prosto ogromne swe rogi, a nie dopiero coś uciągnąć, a wyglądają one jeszcze głupiej, jak inne rasy bydła rogatego, któramu zoologia pod względem głupoty oddaje prawie palmę pierwszeństwa. Kafr nie popędza ich z tyłu, lecz idzie przed niemi; taki furman u Kafrów, nazywa się „wywiadaczem“.

Kafrowie prezentują się bardzo pięknie. Chodząc trzymają się prosto, jak struna, krok ich lekki i zarazem leniwy, jak zwykle u dzikich. „Widziałam murzynów, — powiada lady, — w czterech rozmaitych częściach świata,lecz nie udało mi się ani razu widzieć takiego murzyna, któryby z własnej i nieprzymuszonej woli szedł prędko. Należy zresztą pamiętać, iż dla kafra myśl, że mężczyzna może zająć się jakąkolwiek, choćby najlżejszą robotą, wydałaby się czemś tak nowem, a nawet rewolucyjnem, że wolałby umrzeć, aniżeli się zająć fizyczną robotą. To też kafr nawet nie pogania wołów, ale wlecze się przed niemi krokiem leniwym, a te już machinalnie w ślad idą. Według pojęć kafra, praca jest dla kobiet, a dla mężczyzn wojna i kompletne próżniactwo. To też stara się, jak można najmniej, przyłożyć ręki do czegoś. Chyba coś nadzwyczajnego zmusić go może do roboty jakiej, lecz skoro tylko jest o tyle zamożnym, iż może kupić kilka sztuk podobnych mu „zwierzat jucznych“, t. j. kobiet, to bodaj czy się znajdzie choć jeden pomiędzy nimi taki, któryby choć palcem poruszył. Od czegóż kobiety? — one za niego i dla niego pracować powinne. Takie-to są wyobrażenia w tym punkcie — i kobieta kafrka niezmiernie jest dumną, gdy kupioną została za duże pieniądze. Bo dla niej jest to znak, że coś warta, że dużo pracować potrafi — to też nie bez pewnej dozy pogardy odzywa się ona zwykle o swych białych siostrach, dostających mężów za posag bogaty“.

W innem znów miejscu, lady Barcker pisze: „Czem więcej znajomię się z kaframi, tem więcej poczynam ich kochać i cenić. Panuje wyobrażenie, iż spuścić się na nich nie można; ja zaś uważam ich za ludzi dobrodusznych, wesołych, posłusznych i grzecznych. Nawet pastuch w polu, wita mię słowy: „zako wono“, t. j. dzień dobry, gdy bywało wyjdę zrana na wycieczkę szukać paproci i różnych innych roślin — a z kuchni i ze stajni wciąż mię dolatuje wesoły śmiech. Zresztą wesołość ich, jest zupełnie innego rodzaju, jak wesołość starych moich znajomych, negrów indyjskich, którzy czy to u siebie w domu, czy na folwarku, a wciąż tylko śmieją się i gawędzą. Będąc w towarzystwie, kafry zwykle są bardzo poważni, i nie jest rzeczą łatwą rozśmieszyć ich czemkolwiek lub wzbudzić podziwienie; ale będąc w domu u siebie, w kraalach swych, lud to bardzo udzielający się, wesoły i towarzyski“.

Lady Barcker dużo opowiada o tych ich kraalach, Zajrzymy z nią choć do jednego,

Oto jak wygląda: składa się z 20 chałupek, kształtu ulowego, ustawionych w półksiężyc; największa z nich we środku — to mieszkanie „macimbulu", t. j. naczelnika kraalu, a u wchodu stoi najmłodsza t. j. najświeższa żona jego, zajęta krajaniem dyni na drobniutkie kawałki, z której zamierza sporządzić rodzaj zupy, zwanej „skof". Młoda pani „macim bulu",—powiada autorka. — była to najpiękniejsza, ale zarazem i najopryskliwsza ze wszystkich, jakie tylko znałam kafranek. Miała na sobie ładne łańcuszki i różne inne brzękadełka błyszczące; włosy zaczesane porządnie, ufarbowane na czerwono; cała zaś reszta toalety składała się z kawałka wiśniowej pięknej płachty. Czegoż zdaje się potrzeba więcej?—a jednak pomimo tak pięknej elegancji kafranki, mogła ona służyć za wzór istoty w najgorszym humorze".

„Tuż za chałupą „macibulu", koło ściany leżała cała kolekcja najrozmaitszych „rzadkości", uchodzących w pojęciu kafrów za niezawodne środki przeciwko piorunowi, a mianowicie: zużyte groty pik, muszle, złamane uszko od fajansowego kubka i jakiś pstrokaty łachmanek z zabawki dziecinnej. A wiedzieć trzeba, że rzecz każda, której kafry nie znają i nie używają, jest w ich oczach niezawodnym środkiem zamawiania burz i żywiołów".

Udało się przedtem autorce być na dwóch weselach kafrskich. Przedstawiały one mięszaninę dziwaczną barbarzyństwa z pretensjami do cywilizacji.

„Było to w jasny zimowy poranek — słońce świeciło w całym blasku — gdy orszak weselny ruszył w tryumfie z kościoła; szli parami. Na czele postępowali państwo młodzi, a do koła zaproszeni goście i tłum ciekawych. Trzeba było widzieć, z jaką niczem niezachwianą powagą szedł oblubieniec z oblubienicą, pomimo szczęśliwej radości, błyszczącej w ich wzroku. Pan młody, również drużbowie i przyjaciele jego, mieli na sobie fraki z szarego letniego płócienka, umyślnie kupione na tę uroczystość sławną, i wyglądali naturalnie bardzo komicznie, tem bardziej, że jakby na dobitkę, obuli się w buty — wielce rzecz niewygodną — a na kędzierzawych czuprynach sterczały miękkie filcowe kapelusze szare. Co do panny młodej, ta była ubrana także na sposób europejski, t. j. w bieli z długim welonem tiulowym, zarzuconym na wianek z kwiatów pomarańczowych, zdobiący krucze kędzierzawe włosy. Postępowała z okazałością i wdziękiem, tylko kafrankom właściwym, a długi tren sukni zamiatał proch uliczny. Istotnie chód jej był pełen wdzięku. Patrząc na nią, nie chciało się wierzyć, że jeszcze wczoraj całem jej ubraniem był kawałek płótna u bioder — a oto teraz tak umiejętnie nosi suknię, jakby od dzieciństwa była przyzwyczajona do tego, i z taką dumą i naturalną godnością trzyma czoło wysoko, jakby nigdy nie miała do czynienia z czerwoną ziemią i ciężką robotą. Nie mogłam dobrze widzieć rysów jej twarzy, lecz co do szyji i rąk, to te były czarne jak heban, co stanowiło niemały kontrast z białą ślubną suknią. Za panną młodą postępowało z pół tuzina młodych dziewcząt, tak samo w białych sukniach, z tą tylko różnicą, że zamiast welonu miały długie na głowach woale z błękitnego tiulu. Reszta zaproszonych gości wystąpiła w pstrokatych perkalowych sukniach i różnokolorowych frakach. Bądź jak bądź, ale każdy i każda, byli nadzwyczaj z siebie zadowoleni".

Tylko co opisane wesele, było to wesele Kafrów cywilizowanych; drugie zaś, na którem była lady Barcker, należało do kafrów w stanie pierwotnym.

Przed ślubnym orszakiem postępowała najpierw kupa silnych wojowników, odzianych w skóry zwierzęce na plecach, a w ogromne pęki piór na głowie. Gibkie, żylaste ich ciała lśniły się na słońcu; postępowali szparko, lecz nie o tyle jednak, ażeby nie powitać lady Barcker wdzięcznym ukłonem. Była to awangarda — kwiat kafrskich rycerzy — odprowadzająca córkę pewnego naczelnika kraju po za góry, gdzie odtąd zamieszkać miała ta piękna, oblubienica siły niezwykłej. Nie szli oni, ale raczej biegli, co było koniecznem według ich etykiety, a cały orszak weselny leciał tym samym pędem. Za rycerzami z panną młodą, szli krewni, tłumem nie małym i bardzo pstrokatym z powodu rozmaitych kawałków różnych części odzieży europejskiej, w które się przystroili. Ubiór panny młodej przedstawiał również dziwaczne połączenie nagości ciała z odzieżą, ale za to wszyscy mieli w uszach zamiast kolczyków tabakierki z rozmaitego materyału, bez czego nic u nich.

Po za tłumem krewnych panny młodej postępował jeszcze gęstszy tłum, do którego już i kobiety wchodziły. Odznaczał się szczególnie zastęp niewiast, z których każda miała dużą obręcz mosiężną na czole — znak nieodzowny szlachetnego rodu. Nogi u wszystkich były gołe; zwierzchnią zaś część ciała poza biodra, okrytą mieli kawałkami wełnianej materji. Panna młoda była bardzo piękną, słuszną i wiotką, z wyrazem twarzy bardzo miłym, pomimo widocznego znużenia. Kawałek jakiejś płachty cynamonowego koloru, stanowił całe jej ślubne ubranie dziewicze; pomimo jednak tak skromnej toalety, potrafiła ona tak się udrapować, że piękność kształtów była na okaz, bez szwanku dla wstydliwości dziewiczej. Lica jej i włosy były pofarbowane na czerwono.

Miłość w małżeństwie u kafrów nie odgrywa najmniejszej roli. Wiadomo, że udziałem kobiet w Południowej Afryce jest jedynie ciężkie jarzmo niewoli małżeńskiej. Ale nie wszystkie kobiety ulegają jarzmu. Czarownice, zwane „ispijangi" cieszą się tam ogólnem poszanowaniem. Leczą one i przepowiadają; tłumaczą sny, są kapłankami przesądów i zabobonów, używają praw wszelkich na równi z mężczyznami, noszą broń, polują i stroją się dumnie w trofea swych zwycięztw: w węże skóry, w lamparcie futra i t. p. rzeczy. Starania rządu angielskiego zniszczyć wpływ czarownic na ludność, nie odniosły, jak dotychczas, skutku, i zapewne dużo jeszcze upłynie czasu, zanim to się uda. Ludność miejscowa po dawnemu uznaje „ispijangi" za rodzaj prorokiń, którym wszystko wiadomo, które wszystko potrafią i których słuchać należy. Nie rzadkie są wypadki, że za ich przyczyną wymordowywano całe kraale, lecz z drugiej strony na rozkaz ich ucichały waśnie i nie przychodziło do wojen. Rozdział poświęcony przez lady Barcker temu przedmiotowi, jest nader interesujący. Zresztą trudny tu wybór, bo całe dzieło jest zarówno wielce ciekawem. Widać, że słynna autorka nie zmarnowuła czasu w Afryce. Podejmowała liczne wycieczki w głąb kraju, zwidzała kraale, szkoły i misjonarskie stacje. W stacji Edendal, w której czas dłuższy mieszkała, znajdują się cztery szkoły z 200 uczniami, oprócz szkół niedzielnych, do których uczęszcza 280 dzieci.

Zbrodnia Piotra Michajłowicza.

Obrazek

skreślił

L. Jaźminów.

Jestem bardzo wiernym poddanym, kocham moją ojczyznę, ubóstwiam batiuszkęcara, a jednakowoż nie mogę się równać z Piotrem Michajłowiczem. Piotr Michajłowicz, — może go znacie — należy do najporządniejszych obywateli Charkowa. Jest on właścicielem kamienicy na rogu Wyższej kupieckiej, a pod Charkowem ma fabrykę cegły, i rocznego dochodu do 30 tysięcy; ma przytem żonę, przystojną blondynkę i dwoje dzieci aniołków.... Ale o to mniejsza. Piotr Michajłowicz jest wzorem obywatela — gotów poświęcić wszystko dla cara i ojczyzny. Piotr Michajłowicz modli się każdego ranka i wieczora z rodziną i służbą razem, za cara i jego familię; robotnicy w jego fabryce zaczynają

i kończą robotę śpiewem „hymnu narodowego“, a w każdym pokoju u Piotra znajdzie-cie najmniej jeden wizerunek cara. Kocha on cara nad wszystko — imienia jego nie wymówi, nie zdjąwszy wprzód czapki. Nic też dziwnego, że Piotr Michajłowicz czuł się najszczęśliwszym, gdy zapowiedziano przyjazd batiuszki do Charkowa. Z wielkiej radości ofiarował, pomimo sprzeciwiania się żony, 10 tysięcy na jego przyjęcie. Ludzie mówili, że chce zasłużyć sobie „chrest“, ale to proste oszczerstwo. Piotr Michajłowicz co robił, robił z najczyściejszego patrjotyzmu. Oprócz tego sutego datku Piotr Michajłowicz i własnej swej osoby nie szczędził, aby tylko godnie przyjąć cara-batiuszkę: biegał po wszystkich ulicach, doglądał wszystkiego, i uspokoił się dopiero w dzień przyjazdu swego „gosudara“, uspokoił się o tyle, że nie biegał już, ale od wczesnego ranka przechadzał się po peronie, oczekując carskiego pociągu.

Zacnym człowiekiem był Piotr Michajłowicz, a przecież miał wrogów i to z własnej winy, bo nie rozumiał się na rzeczy. Do gubernatora nigdy nie poszedł, „Gradonaczelnika“ nigdy nie zaprosił do siebie, generałowi nie chciał taniej jak innym sprzedać cegły na dom, kapitana żandarmer i, umizgającego się do jego żony, omal nie obił, i tak był zaślepiony w sobie, że wszystkich nazywał „maszennikami“. Przy tem wszystkiem był za prędki, a czasem nawet nierozważny.

Teraz chodzi Piotr Michajłowicz po peronie; czasem zatrzyma się, poprawi chorągiewkę albo wianek, napędzi którego obywatela, aby przebrał czystą koszulę, a nawet i samego naczelnika zwrócił uwagę, że należałoby wziąć biały krawat na taką uroczystość. Naczelnik przygryzł wargi, a przyjaciele Piotra Michajłowicza poczęli go w głos chwalić za jego lojalne usposobienie.

— To obywatel!

— To patrjota!

— Temu należałby się chrest.

— On go pewnie dostanie, car-batiuszka nie pominie jego zasług.

— Jemu to być naczelnikiem grodzkim!

— O kim panowie mówicie? — zapytał naczelnik, idąc ku gromadce przyjaciół Piotra Michajłowicza.

— O kimże innym, jak nie o Piotrze Michajłowiczu?! To człowiek, to patrjota! On zasługuje na carską łaskę.

— Carska łaska.... naczelnictwo grodu m u w głowie — pomyślał naczelnik odchodząc. — O nie tak to do nich dobiera się, ratku... Kto wie gdzie ty jeszcze zajdziesz!...

Piotr Michajłowicz nie widział groźnego wzroku naczelnika, on patrzał w stronę, z której miał nadjechać carski pociąg, patrzał i naraz począł wołać „hurra“. Zobaczył maleńką chmurkę dymu na widokręgu, i domyślił się, że to komin lokomotywy, ciągnącej carski pociąg. Piotr Michajłowicz nie omylił się (on w takich razach nie mógł się mylić, a jego miłość była przeczuwająca). Za chwil kilka stanął pociąg przed peronem, a w oknie wagonu zajaśniało święte oblicze cara batiuszki.

Jasność carskiego oblicza oślepiła na chwilę Piotra; usłyszał tylko „zdrastwujte rebiata“ i gdy spojrzał dokoła siebie, nie ujrzał już cara.

Ale nasz Piotr Michajłowicz nie taki, aby się dał czembądź zbyć; szybko też roztrącił tłum obywateli, krzyczących bez ustanku „hurra“ i wypadł na dworzec, gdzie car właśnie wsiadał do powozu.

Piotrowi Michajłowiczowi błysnęła genialna myśl.

— Braci.., — zawołał on na swych przyjaciół — car batiuszka, a my jego rebiata! Zawieźmy go sami do miasta!

Słowa Piotra Michajłowicza zelektryzowały jego przyjaciół; w jednem oka mgnieniu przyskoczyli do carskiego powozu, i poczęli wyprzęgać konie. Kuczer przestraszony wypuścił lejce, z powozu wyskoczył car zbladły, a przytomny adjutant krzyknął: Żandarmi!

Żandarmi, to najwierniejsi carscy słudzy, im nie należy oporu stawić, i przyjaciele Piotra Michajłowicza rozskoczyli się j.k żywe srebro; on jeden został a wyprzęgając konie wymyślał żandarmom.

— Co wy maszenniki, nie chc.cie pozwolić r.biatom wieść batiuszkę, nie chcecie pozwolić dotknąć mi się przynajmniej carskiego konia ?...

Policja byłaby może grzeczniej obeszła się z Piotrem Michajłowicz m, ale gdy on jednemu żandarmowi, który go z lekka płazował, dał policzk., związali Piotrowi ręce i zaprowadzili go do tiurmy.

— Posiedzę dziś w tiurmie, ale jutro pewnie car wezwie mnie przed siebie, a wtedy ja wam pokażę maszenniki, jak można uczciwego człowieka, wiernopoddanego patrjotę zamykać w tiurmie... — odgrażał się Piotr Michajłowicz i spokojnie położył się na pryczę, by odetchnąć po trudach. Nie oburzała go tiurma, nie budził w nim wstrętu brud i niechlujstwo c.upy — był on zanadto patrjotą; wiedział, że tiurma była carska, a co carskie — to święte!

Rano przygotowuje się Piotr Michajłowicz na posłuchanie u cara, ale już i południe, już i wieczór, a Piotra nie wzywają. To zaniepokoiło go, dopytuje się straży, ale straż milczy. Na drugi dzień powiedziano Piotrowi, że car odjechał. Piotr Michajłowicz popadł w rozpacz, później w wściekłość, a nakoniec w otrętwienie. Tydzień mija a o niego nikt nie zapyta i nie pozwalają mu do nikogo napisać; prosi, aby mu było wolno widzieć się z gubernatorem, ale i to napróżno. Ledwie zdołał uprosić strażnika, aby mu przyniósł papier i przybory do pisania. Piotr napisał prośbę do gubernatora.

Strażnik nie chciał wziąć na siebie doręczenia tej prośby, ale Piotr Michajłowicz nie trapił się tem: on wymyślił już sposób. Naprzeciw więzienia mieszka gubernator. Piotr widział go wczoraj w oknie, przechodząc się po więziennym ogrodzie, przywiązuje swe podanie do kam enia i ciska je przez okno.

Piotr Michajłowicz spodziewał się jak najlepszego skutku, ale nieszczęście chciało, że właśnie gubernator siedział przy tem oknie, i kamień stłukłszy zwierciadło, przy którem gubernator robił toaletę, upadł mu na kolana. Gdyby to jeszcze na innego gubernatora trafiło, może byłoby inaczej, ale nasz gubernator, to człowiek bardzo lękliwy. Z przestrachu przeleżał tydzień w łóżku, a Piotrowi Michajłowiczowi przeczytano wyrok, skazujący go na przesiedlenie do Jakutskiej gubernii. Obwiniono go o zamach na imperatora i gubernatora.

I wywieziono Piotra Michajłowicza, a Charków z małymi wyjątkami cieszy się z tego.. Gubernator już zdrów, naczelnik wesoły, gen rał dostał cegłę za półdarmo, a kapitan umizga się do Piotrowej. Mnie żal Piotra Michajłowicza, ale nie można się sprzeciwiać wyrokom opatrzności, która kieruje krokami naszego rządu. Może to i dobrze....

Przejście Wenery przez tarczę słońca.

napisał

Dr. K. Hertz.

(Dokończenie.)

Gdy Halley w r. 1677 znajdował się na wyspie Ś-tej Heleny, miał on sposobność obserwować przejście Merkurego przez tarczę słoneczną. Nadzwyczajna dokładność z jaką obserwował to zjawisko, naprowadziła go na myśl korzystania z przejścia Wenery dla wyznaczenia paralaksy słońca. W chwili niższego złączania, Wenera musi znajdować się w takiem położeniu, że jej środek dzieli prostą łączącą środki ziemi i słońca w pewnym oznaczonym stosunku. Dajmy na to, że w chwili złączenia odległość Wenery od słońca wynosi 0,73 całej tej prostej, odległość

zaś Wenery od ziemi wynosi 0.57, czyli innemi słowy, że Wenera jest 2.7 razy więcej oddalona od słońca niż od ziemi. Wyobraźmy teraz sobie dla większej prostoty, że dwaj obserwatorowie znajdują się na końcach jednej średnicy ziemskiej. Oczywiście, że ci dwaj obserwatorowie nie zobaczą Wenery w jednym punkcie tarczy słonecznej, lecz w dwóch różnych punktach, jak o tem łatwo się każdy przekonać może, nakreśliwszy sobie dwa koła, z których jedno ma mu przedstawić ziemię, drugie słońce, a pomiędzy niemi punkt mający przedstawiać Wenerę, i następnie prowadząc proste od końców średnicy, na których znajdują się obserwatorowie, do Wenery i przedłużając je do tarczy słonecznej. Na zasadzie bardzo prostego rachunku geometrycznego, łatwo przekonać się możemy że odległość miejsc tarczy słonecznej, w których obserwatorowie widzą Wenerę, jest 2.7 razy większą, niż średnica ziemska. Ztąd wypada, że kąt pod którym odległość tę widzieć będziemy ze środka ziemi, jest 2,7 razy większym niż kąt, pod którym średnicę ziemską widzieć będziemy ze środka słońca, t. j. 2,7 razy większą od podwójnej paralaksy słońca. Pokazuje się więc ztąd, że dla obliczenia tej paralaksy wystarcza wyznaczenie odległości miejsc, w których na tarczy słonecznej ukazuje się obserwatorom Wenera. Otóż na zasadzie bardzo prostego rachunku można obliczyć tę odległość, znając tylko długość cięciw, jakie planeta przy swojem przejściu zdaje się opisywać na tarczy słonecznej. Lecz geometrja uczy, jak ze znanej prędkości biegu planety i czasu łożonego na przebieżenie tych cięciw, obliczyć ich wielkość i położenie. Otóż celem wszystkich ekspedycyj naukowych wysłanych dla obserwowania przejścia Wenery, jest ścisłe wyznaczenie położenia cięciw, opisanych przez planetę na tarczy słonecznej.

Jak tylko Halley ogłosił swoją metodę, wszyscy astronomowie wieku przeszłego starali się zbadać w praktyce jej wartość i dla tego też, gdy w latach 1761 i 1769 miały miejsca przejścia Wenery przez tarczę słońca, wszystkie ludy ucywilizowane wysłały ekspedycje naukowe dla obserwowania tego zjawiska. Otóż okazało się, że dla różnych przyczyn, pochodzących już to z niedokładności narzędzi astronomicznych i oka ludzkiego, już też z natury światła, obserwowania przejścia Wenery przedstawia niezmiernie wielkie trudności, i dla tego też różni astronomowie znaleźli najrozmaitsze wypadki, różniące się o całe 0,4 sekundy kąta, tak. że według późniejszych obliczeń astronomów Powalkiego, Stona, Fay'a i wielu innych, błędy obserwacyj w r. 1769 były tak wielkie, że z nich można tylko wyprowadzić wniosek, iż wartość paralaksy słonecznej jest prawdopodobnie zawarta pomiędzy 8",7 i 8". Z tego to powodu świat uczony zwrócił szczególną uwagę na przejście Wenery, które miało miejsce dnia 9 grudnia 1874 r.

Najważniejsze punkta obserwacyjne na półkuli południowej, były: wyspa Śgo Pawła, wyspy Kergulen, Maurycego i różne miasta Australji, na półkuli zaś północnej: Ykohama Pekin, wiele miast w Indjach, wiele stacyj na morzu Czerwonem, Aden, Suez, Egipt i Syberja.

Chociaż wypadki tych obserwacyj nie są jeszcze ostatecznie obliczone to jednak możemy już powiedzieć, że wielkość 8",88 jest bardzo zbliżoną do prawdziwej wartości paralaksy słonecznej. Musimy tu dodać, że Francuzi i Amerykanie pokładali wielkie nadzieje w sposobie fotografowania tarczy słonecznej wraz z planetą w najrozmaitszych fazach zjawiska przejścia Wenery, lecz doświadczenie pokazało, że metoda ta nie daje ścisłych rezultatów, jak to już widać z tego, że Burton z fotografij angielskich znalazł paralaksę równą 8", 25, gdy z tychże samych fotografij kapitan Tupman znalazł 8",08. Zjawisko tegoroczne widziane było w Ameryce południowej i większej części północnej Europy, z wyjątkiem Skandynawii, oraz w większej części wschodniej Europy, koniec zaś we wschodniej części Nowej Holandji i na wyspach Australji. Dla obserwowania tego zjawiska wysłane zostały ekspedycje naukowe do Ameryki północnej i południowej przez wszystkie prawie państwa. Wszyscy astronomowie biorący udział w ekspedycjach, na odbytej poprzednio konferencji międzynarodowej, zgodzili się odstąpić od dokonywania zdjęć fotograficznych zjawiska, jako niedokładnych i do badań naukowych nieprzydatnych.

Zaraz na samym początku artykułu powiedzieliśmy, że zjawisko przejścia Wenery przez tarczę słońca jest rzadkiem. Pochodzi to ztąd, że płaszczyzna drogi planety jest nachyloną do płaszczyzny drogi ziemskiej pod kątem 3° 24'. Gdyby Wenera odbywała swój bieg na płaszczyźnie ekliptyki, wtedy przejście miałoby miejsce przez tarczę słońca przy każdem złączeniu dolnem, lecz z powodu nachylenia płaszczyzn dróg planety i ziemi, Wenera przechodzi już to nad, już pod tarczą słoneczną, tylko wtedy, gdy w chwili złączenia dolnego znajduje się w bliskości węzłów, czyli punktów przecięcia się dróg ziem i planety, może ona być widzialną na tarczy słonecznej. Porównywając czasy obiegów ziemi i Wenery znajdziemy, że 8 obiegów ziemskich równają się 13 obiegom Wenery, i że oprócz tego, 235 obiegów ziemskich równają się też 382 obiegom Wenery. Jeśli więc pewnego razu złączenie dolne Wenery miało miejsce w bliskości węzłów, i planeta przeszła przez tarczę słońca, to następne przejście może nastąpić po upływie lat 8, następnie zaś dopiero po upływie lat 235. Ponieważ zaś to cośmy powiedzieli, odnosi się i do drugiego węzła, więc przejście Wenery przez tarczę słońca może się tylko zdarzyć cztery razy w ciągu 243 lat.

Przegląd literacki.

(Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Łabą a granicami dawnej Polski od czasu wystąpienia ich na widownię dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych. Napisał Dr. Sieniawski, członek honorowy Towarzystwa naukowego w Toruniu. Gniezno, nakładem autora czcionkami J. B. Langiego 1881.)

Dzieje Europy w średnich wiekach przedstawiają dziwny i straszny zarazem widok, bo z jednej strony zdziczenie dochodzące do zenitu, a z drugiej jakieś iście młodzieńcze porywy, pędzące tłumy na śmierć pewną gdzieś aż w azjatyckie pustynie. A chociaż błędne to było rycerstwo, co biegło walczyć o ziemię świętą, to jednak pewną jest rzeczą, że zbawienne po części pozostawiło po sobie skutki. Nie można tego powiedzieć o tych wojownikach za wiarę chrześcijańską, którzy chcieli nawracać pogan europejskich, bo podobnie krwawemi dziejami bodaj, czy się jakie czasy poszczycić mogą. Mieszkały dwa ludy obok siebie: na zachodzie surowi, na pół dzicy, w boju niemal wzrośli, ale za to chrześcijańscy Niemcy, a na wschodzie spokojni, pracowici w pokoju rozmiłowani, bezbronni, lecz niestety pogańscy Słowianie, a już to samo uprawniało ich zachodnich sąsiedów do pastwienia się nad nimi. I rzeczywiście żaden naród nie skorzystał tak ze swego i rzekomego prawa i położenia i przewagi wreszcie fizycznej jak Niemcy. Pod pokrywką szerzenia wiary chrześcijańskiej napadali raz po raz przez kilka wieków zachodnią słowiańszczyznę, a postępowanie ich musi wstręt i oburzenie w każdym obudzić. Ostatecznie dopięli celu, krzyż zapanował na wolnych niegdyś ziemiach, ale wówczas, gdy ani śladu nie pozostało z dawnej słowiańszczyzny, bo zdziczenie do takiego doszło stopnia, że biskupi na czele hord palili pogańskie wsie a mieszkańców przedawali w niewolę, doszło zaś do tego, że zupełnie wytępiono dzielny ten naród i dziś na da-

wnej, czysto słowiańskiej ziemi stoi stolica cesarstwa niemieckiego. Nieszczęśliwy naród nawet obrońców u potomności znaleść nie mógł, aż dziś dopiero znachodzą się ludzie, co się dziejami jego zajmują. Prawda, że Niemcy mają już całą literaturę, traktującą o stosunkach Niemiec z zachodnią Słowiańszczyzną, ale łatwo się domyśleć, w jakim duchu ona pisana, a uczony, i u nas najlepiej znany Giesebrecht prawie nie uznaje Słowian za naród, lecz za jakieś dziwny konglomerat, który własnej, osobnej historji mieć nie może. U nas jeszcze gorzej, bo to, cośmy dotąd mieli, to były przeważnie tylko wzmianki przy jakiejś sposobności, a niestety często niesprawiedliwe, jak n. p. Bartoszewicz nie waha się najdzielniejszych ludzi bezpodstawnie zdrajcami nazywać. Dr. Sieniawski podjął się nie łatwej pracy pisząc swój „Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych“, a trzeba mu przyznać, że dość zwycięsko wyszedł. Przedewszystkiem zaznaczyć należy sumienność, z jaką wziął się do pracy, zbadał bowiem wszystkie niemal źródła, poznał literaturę obcą, odnoszącą się do Słowian, a wreszcie znać z dzieła, że robił poszukiwania na miejscu, między ludem, Zaopatrzony takim zapasem wiedzy mógł się wziąć do pisania i rozprawić się przytem z pisarzami niemieckimi, fałszującymi dzieje. Cały dowód o tem, że Słowianie są autochtonami jest bardzo gruntownie przeprowadzony, może nawet ze zbytnią skrupulatnością, bo autor nie pominął najmniejszego szczegółu, co czytelnika może nawet znużyć. Daleko swobodniejszym jest w części, traktującej dzieje polityczne, a jakkolwiek stara się być bezstronnym, to jednak znać, że stoi po stronie uciskanej, usprawiedliwia upór i zaciętość, z jaką Słowianie trzymali się wiary pogańskiej, boć skoro chrześcijańska przynosiła im ciężary i niewolę niemiecką, toż nie mogli jej przyjąć. Zdziczenie, jakie się okazuje u Słowian nawet w XII. w., dalej owo straszne Duńczyków korsarstwo jest również wynikiem tej blisko czterystoletniej wojny. W tej części szanowny autor za mało zajmuje się stosunkami politycznymi, należało koniecznie więcej powiedzieć o wpływach i dążnościach Czech i Polski szczególniej w w. XI. i XII.

Bardzo gruntownie opracowana jest część, traktująca o dziejach wewnętrznych słowiańszczyny, o jej urządzeniach, życiu domowem, handlu, przemyśle, oświacie, rządzie, urządzeniach wojskowych i t. d. Jeśli o walkach możemy się ostatecznie i z niemieckich pisarzów dowiedzieć, to o owych stosunkach dokładnie pouczyć się możemy chyba z dzieła Dra Sieniawskiego. Nie jest jednak i ono bez usterek. A najpierw Część II. — ogólną — należało umieścić najpierw, a dopiero potem dzieje polityczne, jestto układ tak naturalny, że dziwić się należy, dlaczego autor inaczej postąpił. Następnie mimo wielkiego zasobu wiedzy znać pewną powierzchowność, jakiś niepotrzebny pospiech, a kto pisał dzieło o 469. stronnicach, ten nie potrzebował się zbytnio liczyć ze słowami, powinien był wypowiedzieć wszystko i nie pozostawić czytelnika w wątpliwości, choćby się ona odnosiła do bagateli. Gdy jednak ten błąd zestawimy z drugim, wręcz przeciwnym, mianowicie z ową zbytnią drobiazgowością w niektórych miejscach, to przyjdziemy do przekonania, że obydwa pochodzą z braku wprawy pisarskiej i niezawodnie z czasem ustaną. Przy tem autor daje się łatwo porwać jakiejś hipotezie, jak np. owej p. Obermüllera, która, jak to sam dr. S. po części przyznaje, jest fantazją i prawie niczem więcej mimo genialności jej autora. — Walnym zarzutem byłby język, który okropnie wyszedł z pod pióra dra S., gdyby nie trzeba było uwzględnić okoliczności, że autor przebywa stale jako urzędnik w Düsseldorfie nad Renem. Z tego powodu musimy go usprawiedliwić i darować mu owe błędy przeciwko czystości języka.

Autor obiecuje napisać dzieje południowo-zachodniej Słowiańszczyzny; przypominamy mu ową obietnicę i prosimy, by ją jak najprędzej spełnił.

J. Zimerman.

ZIARNKA.

Jeżeli jaki cudzoziemiec oglądał w tym tygodniu nasze miasto, bez wątpienia wyniósł wrażenie, że stolica Czerwonej Rusi to wcale ruchliwy — zaścianek Europy. I rzeczywiście, świąteczny ruch na ulicach panował nader ożywiony — tłumy ludzi a szczególnie nasze gosposie z zafrasowanem najczęściej obliczem snuły się wszędzie od wczesnego ranka dążąc najwięcej ku rynkowi, gdzie taka piękna, bogata wystawa „szopek“, gdzie zresztą główny targ na ryby, i bazary — z tanią lichotą na „boże drzewko“. Patrzyliśmy nieraz przechodząc, oczywiście potraceni co chwila, do wnętrza tej i owej księgarni — może bodaj teraz cisną się tam ludziska, by dla swej dziatwy kupić choć „na gwiazdkę“ coś z towaru drukowanego! Gdzie tam! Księgarnie były puste — jak zwykle. Za to w sklepach korzennych, osobliwie firm wziętych w mieście — ścisk nieznośny, Bodaj to być przekupniem towarów — dla żołądka!...

...I gardła — dodać należy zważywszy, że objadłszy się ryb, kutji, gołąbków i tp. specjałów — broń Boże popić wodą... miałżeby się człek z pyszna! Więc kto z nas zasobniejszy, ani chybi, musi kupić na święta kilka lub kilkanaście butelek wina, oczywiście węgierskiego mospanie! bo na francuskie, reńskie i inne zagraniczne nas nie stać. Rozumie się, że kilka kropli wódeczki, już z hygienicznych względów niezbędne... a kto już bardzo a bardzo się z groszem liczyć musi, no to piwkiem się zadowala, ale co najmniej ono być musi koniecznie... „Bo to „Panie Dobrodzieju“ — „kumie„ — „człecze“ i jak tam jeszcze ludzie się tytułują — ryba pływała za życia więc i td.“

Będziemy więc jedli — pili — ciepło nam będzie (choć prawdopodobnie silny mróz na oknach porysuje kwiaty fantastyczne) i wesoło... Wesoło powtarzamy — bo kto by tam zakłócał sobie świąteczny nastrój ducha jakiemś wspomieniem — niby upior cmentarny, strasznem i groźnem — że nie wszyscy na tym pięknym świecie w ów wieczór „wilią“ zwany — mają i b a r s z c z y k z u s z k a m i — i r y b k ę — i mogą czem p o p i ć d o s k o n a l e — że są tacy, oczywiście niewidzialni dla każdego oka, którzy łzami będą ogrzewać skrzepłe z zimna ręce, i radziby choć kawałkiem chleba suchego, zatumanić głód doskwierający... A jednak Ten Maleńki z Betlejem, którego urodziny świat chrześcijański co roku obchodzi tak uroczyście — (specjalnie my Polacy i Rusini przygotowujemy się do tego święta sutą wieczerzą...) — Ten Maleńki — wśród mnóstwa cudownych prawd i niespożytych nauk, mówił coś — o miłości bliźniego — o braterstwie ogólnem — , o... lecz dajmy spokój lepiej złammy odwiecznym zwyczajem opłatek kochany czytelniku, i życzmy sobie: Szczęśliwego dosiego roku!

* * *

Z Nowym rokiem pojawiają się zapowiedzi nowych pism. Na pierwszem miejscu musimy postawić dwutygodnik P r z y s z ł o ś ć organ młodzieży polskiej, który wychodzić będzie w Krakowie. Jak widzimy z rozesłanego prospektu będzie to pismo niezależne, i szczerze postępowe. Nadmieniwszy o dzielności fizycznej i duchowej, które młodzież cechować powinno, mówi prospekt, że „umysł zdrowy ukochać musi drogi pewne i proste, a niedać się zwodzić ścieżkom obłędnym..., ukochać on musi wolność i wiedzę oswobodzicielkę z więzów przesądu, dogmatu i doktryny... Zdrowie mo-

ralne nie pozwoli młodzieży samolubnych celów obierać, ale miłością każe ogarniać tłumy i w pochodzie ku przyszłości podeprzeć uciśnionych". Mówiąc potem że każdy powinien być przedewszystkiem obywatelem pisze redakcja w prospekcie: Uderzymy z wszystkich sił na ów często powtarzany frazes, że młodzież sprawami publicznemi zajmować się nie powinna, że po nad książkę nic ją niema obchodzić. Zasada taka, to posiew bezprzekonaniowości i nieobywatelskości".

Młodego towarzysza naszej pracy witamy serdecznie. Mamy nadzieję, że „Przyszłość poprze moralnie i materjalnie cała lepsza młodzież, że obudzi ona apatyczną i uspioną w większości młodzież naszą dzisiejszą.

W Rzeszowie znowu ma wychodzić T y g o d n i k R z e s z o w s k i, pismo poświęcone sprawom społeczno-ekonomicznym. Życzymy i temu pismu powodzenia, jeżeli umiejętnie bacząc na interes ogółu, nie pojedynczych jednostek podnosić ono będzie sprawy społeczne.

Wiadomo zapewne czytelnikom, że w Tarnowie wychodzą obecnie aż trzy pisma O r z e ł P o g o ń i U n i a, nie licząc P r z y r o d n i k a. Od nowego roku ma przybyć jeszcze czwarte. Niewiemy jakiem będzie to nowe pismo, o dotychczasowych jednak nic korzystnego powiedzieć nie możemy.

O projekcie wydawania nowego dziennika o czem zamyślają podobno pp. Męciński i Dieduszycki, nic jeszcze pewnego nie wiadomo.

* * *

W ubiegłą sobotę została nareszcie rostrzygniętą sprawa teatru lwowskiego. Dyrekcję otrzymał p. Jan Dobrzański, chociaż czyniono wszelkie zabiegi, aby usunąć go od stanowiska, na którem przed kilkoma laty tak dobrze dla ogółu się zasłużył. Poruszono przeciw niemu wszelkie sprężyny, wytężono wszelkie wpływy, użyto wszelkich możliwych protekcyj i protekcyjek, mimo to „trzech członków Rady nadzorczej fundacji skarbkowskiej nie dało się otumanić i oddało mu swoje głosy. Czwartemu, prezesowi wszelkich możliwych towarzystw osłabienie starcze podyktowało „v o t u m s e p a r a t u m" z pewnego rodzaju protestem. Czasby już nareszcie dać spokój z temi „poważnemi minami", nie mającemi już energji do samodzielnego myślenia i do otwartego postępowania. P. Dobrzański w palmową niedzielę przyszłego roku obejmuje dyrekcję teatru. Życzymy mu powodzenia...

Ostatni tydzień przyniósł nam trzy nowości, o których warto zrobić notatkę. Niestety — był to tydzień przedświąteczny, a w tym czasie publiczność ma za wiele wydadków, aby jeszcze pozostały pieniądze na teatr. To też przedstawienia pod względem kasowym były ubożuchne. W poniedziałek na dochód ulubionego Seweryna Zamojskiego, vulgo „Ziomka", jak go powszechnie nazywają, odegraną została komedja Szekspira „Henryk IV.", w której beneficjant z właściwym sobie talentem i porywającym humorem odtworzył nieśmiertelną postać „są czy z kufla" — Falstaffa. Przedstawienie w ogóle nie szczególnie wypadło, co przypisać należy niadostatecznemu przygotowaniu — a ze Szekspirem nie ma żartu! Mimo to publiczność inteligentna opuściła z zadowoleniem teatr, jeżeli bowiem nie zbyt ubawiła się — to w każdym razie wyniosła nie jeden szczegół ilustrujący rozwój literatury dramatycznej w Europie.

W środę w pustej prawie zupełnie sali odbył się koncert nadwornej skrzypicielki króla Belgijskiego pani Ahny de Blanc. Koncertantkę poprzedziła głośna reklama: dawała kilka koncertów w Krakowie i w Warszawie i unoszono się tam nad jej grą?— Czy na serjo! Wątpimy, pani de Blanc bowiem przedstawiła nam się jako mierna artystka, goniąca tylko za efektami, bez głębszej myśli i o średniej wyrobionej technice.. Na zaszczytne wyszczególnienie zasługuje kapelmistrz p. Przibik, który wybornie w jej koncercie prowadził orkiestrę..

Nakoniec w czwartek, i piątek zrobiła się z sali teatralnej nie w przenośnem znaczeniu, ale prawdziwa szopka. Grano „Jasełka", utwór w rodzaju dawnych dyalogów przedstawiające narodziny Chrystusa, a składający się ze znanych kolend powiązanych ze sobą pod względem treści przez dr. Soleckiego, a w muzyce przez p. W. Czerwińskiego. Są tam żydowscy kapłani, Bartek, Wojtek, Szymek i inni pastuszkowie z kolend, są patrjarchowie z długiemi brodami w dwurożnych infułach, chóry anielskie na scenie stajenka Betlejemska, za sceną Marja z dzieciątkiem, stary Józef i td. słowem wszystkie postacie z kolend wraz z nieodzownymi podarunkami w maśle, jagniętach, gołąbkach e t. c. e t. c. Niektóre kolendy tchnące czczą prostotą i naiwnością mają rzeczywistą wartośc artystyczną. Przedstawienie nie źle się udało a na maluczkich ciałem (dzieci było mnóstwo) zrobiło nawet pewne wrażenie.

* * *

Przed kilku dniami zmarł w mieście naszem Mieczysław Chrzanowski zastępca dyrektora oddziału rachunkowego w wydziale krajowym, człowiek wielkiej pracy i wielkiej zacności. Wiadomość o jego zgonie przyjęli też wszyscy co go bliżej znali, a cenić musieli z głębokim żalem. Zmarły nie brał żywszego udziału w życiu publicznem, ale to co do niego należało, wskromnym swym zakresie spełniał sumiennie a dodajmy szczerze i ochotnie. Człowiek ten systematyczny i spokojny był stworzony do pracy biurowej; urzędnikiem też był wzorowym; pracowitość jego mogła służyć za wzór kolegom i przełożonym. Pracował za dziesięciu, gorączkowo, bez przerwy, a praca ta żmudna była jedną z przyczyn jego choroby i śmierci. Od roku już był chory, ale nie ustawał w pracy, a obok robót biurowych zajmował się z zapałem zbieraniem dat do historji teatru lwowskiego. Teatr w ogóle był oprócz biura jedynem jego zamiłowaniem, jego namiętnością. W zawodzie artysty dramatycznego sam się próbował, a wolne chwile uprzyjemniał sobie tłumaczeniem dramatów. W ten sposób przez lat kilkanaście przetłómaczył dla sceny lwowskiej przeszło 120 sztuk wyborowych, między innemi zaś przełożył niemal wszystkie utwory Wiktoryna Sardou. Do zbierania materjałów do historji teatru lwowskiego spowodował go „Teatr w Polsce" Estrajchera w którym kronika sceny lwowskiej jest pełna luk, a już od chwili objęcia teatru przez Smochowskiego i Nowakowskiego składa się z luźnych dat nie dających jasnego obrazu ani o repertoarze ani o artystach. Materjały te są zupełnie uporządkowane i może się znajdzie ktoś taki, co je potrafi zużytkować. Zmarłemu nie było przenaczonem dokończyć rozpoczętej pracy. Są ludzie, którzy wskazani są na to, aby żywot ich upłynął w pocie i udręczeniu. W chwili gdy się zrywają do pracy owocnej śmierć przecina nić życia i niepozostaje nic po nich jeno wspomnienie i żal szczery w sercach ludzi zacnych, którzy umieją uszanować prawdziwą pracę i czystość charakteru.

ZAPISKI.

Literatura.

* Ukazał się już na półkach księgarskich 5ty tom dzieł L i t w o s a (H e n r y k a S i e n k i e w i c z a). Mieści on w sobie drukowane poprzednio nowele „Latarnik" (druk. w „Niwie"), „Bartek zwycięzca" (druk. w „Czasie" i „Słowie"), „Nowela tatarska" (druk. w „Tygodniu"), dramat Na jedną kartę", przedstawiany na scenie war-

szawskiej, wreszcie nową a prześliczną nowelkę pt. „Jamioł“ Piękne pióro Litwosa zbyt jest znane naszej publiczności, ażebyśmy potrzebowali jeszcze zachęcać czytelników do rychłego zaznajomienia się z nowo wydanym tomem jego pism, z których zresztą nie omieszkamy przy sposobności zdać sprawy.

* Konkurs Redakcji „Kur. Codz.“ w Warszawie na najlepszą trzy fejletonową nowelę został w ubiegłym tygodniu rozstrzygnięty. Z ośmdziesięciu kilku nadesłanych prac, otrzymała pierwszą nagrodę 100 rubli nowela p. Krypiakiewicza ze Lwowa p. t. „Buty Michałka“. Drugą w ilości 60 rubli przyznano utworowi p. Marji Konopnickiej, pt. “Wojciech Zapała“, a zaszczytna wzmianka dostała się „Babusi“ p. Br. Grabowskiego.

* Zbiorek poezji o żydach wyszedł z druku we Lwowie ostatnimi czasy. Najpiękniejsze z pomieszczonych tam utworów są: „Jankiel“ Mickiewicza, „Księgarz uliczny“ Syrokomli, „Mosiek“ gawęda Wł. Wolskiego, „Rabin“ Romanowskiego.

* W ostatnim N-rze „Tyg. Powsz.“ zamieszczony został portret i życiorys Kaz. Jarochowskiego z którego wyjmujemy następujące daty: Jarochowski urodził się w poznańskiem, 12 września 1829, r. Ojciec jego Cypran, ziemianin-żołnierz, był w r. 1848 członkiem komitetu narodowego. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych w Poznaniu i po odbyciu odpowiedniej rekolekcji w murach więziennych, za wykroczenie polityczne natury, wstąpił na wydział prawny uniwersytetu berlińskiego w r. 1847 a odbywszy jednocześnie z karabinem na ramieniu służbę wojskową w pamiętnej ruchawce 1848 r. złożył następnie egzamin na auskultatora, co mu w kilkanaście lat później, po złożeniu egzaminów państwowych, posłużyło do pozyskania godności sędziego w Poznaniu, którą dopiero w roku zeszłym, uzyskawszy emeryturę, opuścił. Uciążliwe obowiązki sędziego nie przeszkadzały jednak Jarochowskiemu ani oddawać się poważnym studyom nad dziejami ojczystemi, ani stać u steru Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, i pobudzać do życia i ruchu społeczeństwo poznańskie. Poczet prac naukowych J. jest dotychczas weale pokaźny. należą tu: „Dzieje panowania Augusta IIgo, „Opow. hist.“ serya I (Poznań 1860), także „Opowiadań“, serya II i III, wydana w rb. Z wydawnictw źródłowych wspomnieć należy: „Tekę Gabr. Jun. Podoskiego“ w sześciu tomach, nadto piękną, barwnie skreśloną rozprawę o „Literaturze poznańskiej w bieżącem stuleciu.“ Obecnie, usunąwszy się od obowiązków sędziego, J. poświęcił się przeważnie gabinetowej pracy na polu literackiem i historycznem, oraz korespondencyom politycznym do poważniejszych organów prasy polskiej. Główną zaletą pisarską J. jest jasność i potoczystość wykładu; w krytyce zaś historycznej bezstronność w traktowaniu osób i wypadków, wolna od wszelkich stronniczych względów.

* W Warszawie opuściły niedawno nakładem Gebethnera i Wolffa prasę „Nowe opowiadania i studja historyczne“ Jarochowskiego, badacza czasów saskich z dziejów naszej Rzeczypospolitej. Prace pomieszczone w tym tomie przeważnie były już drukowane po czasopismach i z wyjątkiem szkicu „Brandenburgia i Polska w pierwszych latach po traktacie oliwskim“ obejmującego lata od 1000 1003, nie wychodzą po za obręb epoki, którą autor zawsze tak chętnie się zajmuje. Szkice te i studja oparte na gruntownem i sumiennem badaniu źródeł, a zwłaszcza aktów tajnego archiwum w Dreźnie, wyświecają nam wiele bardzo ciekawych szczegółów z przeszłości naszej Rzeczypospolitej. Największa ich część, jak „Zamachy Augusta II na Stan. Leszczyńskiego“, „Katastrofa Patkula 1704 — 1707“, „Koniec Radziejowskiego 1704 — 1705“ itp. odnoszą się do czasów wojny północnej; studjum „Próba emancypacyjna polityki Augustowej i intryga Posadowskiego r. 1720“ rzuca światło na późniejszą epokę rządów Augusta IIgo.

* Przed niedawnym czasem odkryto, a raczej wydobyto na jaw ciekawe ze wszechmiar Archiwum Poniatowskich w Jabłoniu. Zbiór ten posiadający znaczny zapas ważnych materjałów do epoki stanisławowskiej, był dotychczas w zapomnieniu i korzystały z niego jedynie... myszy. Jabłonna, a z nią owe archiwum, dostały się drogą spadku hr. Aug. Potockiemu, który zajął się salwowaniem od zagłady i uporządkowaniem cennych dokumentów. W obszernym pokoju, którego 3 ściany założone są książkami, mieści się około kilka tysięcy listów sekretarza król. Ghigiottego, mogących rozświetlić wiele ciemnych jeszcze punktów z dziejów p. Stolnika litewskiego. Najciekawszą częścią zbioru są podobno księgi rachunków prywatnych wydatków króla i wykazy pensyj płaconych faworytom i zausznikom hojnego pana. Rachunki sięgają aż po za rok 1764, i zawierają wiele wymownych szczegółów do historji upadku Rzeczypospolitej!

* Pod tytułem „Czary w krainie wiedzy“ opuściło nakładem księgarni Lesmana i Świszczowskiego w Warszawie prasę dzieło dla młodzieży, a autorką Czarów w krainie wiedzy jest znane popularyzatrka nauk przyrodniczych Arabella B. Buclay, treść zaś książki jest powtórzeniem jej wykładów mianych w gronie młodych słuchaczy, które zyskały jej szerokie uznanie w angielskim społeczeństwie. Wykłady te ujęte są w dziesięć rozdziałów, mówiących o różnych zjawiskach przyrody, o promieniach słonecznych, powietrznym oceanie, o pszczołach, węglu, kwiatach i t. d. Treść bardzo obfita i urozmaicona, a wykład popularny i zrozumiały. „Czary w krainie przyrody“ zasługują na jak największe rozpowszechnienie.

* W Turynie wyjdzie wkrótce z pod prasy I tom listów Cavoura, obejmujący korespondencje tego wielkiego dyplomaty od r. 1821 — 1852. Drugi tom pomieści listy dotyczące wypadków począwszy od wojny krymskiej. Ciekawe to dla historyków wydawnictwo prowadzi były sekretarz Lamarmory, major Chiala.

* P. Lopez, portugalczyk, pracujący obecnie nad obszerną monografią o Camoensie, zwidzał temi czasami bibliotekę Jagellońską, poszukując przekładów dzieł wielkiego poety.

* Regaldi Józef wydał w Bolonii dzieło pt „Egipt“, w którym opisuje krainę Faraonów pod względem historycznym, naukowym, geograficznym i etnograficznym. Jest to praca nader wyczerpująca i wszechstronna.

* Losy nieszczęśliwej królowej szkockiej, bohaterki dramatów Schillera i Słowackiego, żywo zajmują wciąż uczonych badaczów. Jako cenny przyczynek do rozjaśnienia kilku chwil jej życia posłużyć może wydany obecnie w Monachium przez Dr. B. Seppa „Tagebuch der unglücklichen Schottenkönigin Maria Stuart während ihres Aufenthaltes zu Glasgow vom 23—27 Jan. 1567.

* Niezmiernie interesujące studjum literacko-historyczne o E. Tegnér'ze, twórcy słynnej Frithiof-Sagi, wydał właśnie Jeus Christensen (w Lipsku). Zupełnie nowe a nieznane szczegóły o życiu poety, jego stosunku do Goethego, Scott'a, Byron'a i greckich mistrzów, o stanowisku jego w literaturze świata i o znaczniejszych utworach, a specjalnie o Frithiofie stanowią treść pokaźnego dzieła, któremu Niemcy przyznają bardzo wysoką wartość.

Teatr i muzyka.

* P. Romana (Popiei) Swięcka, jak zapewniają dzienniki warszawskie, zamierza wrócić na tamtejszą scenę.

* Panna Deryng wychodzi za mąż i opuszcza scenę warszawską od połowy stycznia r. b.

* W Tryeście odegrano 14. bm. fragment (2 akty i 3 sceny III aktu) dramatu „Sulla“, pozostawionego przez genialnego Piotra Cossę.

* Wiedeńska opera nadworna wznawia operę Gounoda „Filemon i Baucs,“ którą przedstawiono po raz pierwszy 4 paźdz. 1878.

* Cenzura zakazała w Cieplicach przedstawić wspaniały dramat Grillparzera „Ottokars Glück und Ende“.

* Towarzystwo dramatyczne Dieudonné Coquelin po występach w Odessie przybyło do Kijowa Coquelina przyjmowano z zapałem.

Sztuki piękne.

* W salach Künstlerhausu otwarta została na rzecz dotkniętych powodzią w Tyrolu wystawa gobelinów cesarskich, które w ogóle szerszym kołom nie są weale znane, bo przechowywane są w rollach w Schönbrunie i nigdy nie bywają używane. Są to prawdziwe arcydzieła sztuki kobierniczej, których wykonanie mierzy się z pięknością wzorów użytych za model.

* Drugi suplement do „Kunsthistorische Bilderbogen“ E. A. Seemanna wyszedł w tych dniach i zawiera kilka polichromicznych tablic, objaśniających sposób malowania tła budowli rzymskich i naczyń greckich.

* Towarzystwo, „für vervielfältigende Kunst“, wydało pierwszy zeszyt V. rocznika pisma swego „Die graphishen Künste,“ który oprócz dalszego ciągu studjum o galerji Schacka zawiera rzecz o rzeźbach Kundmanna z prześlicznemi reprodukcjami pomnika Schuberta, figury przedstawiającej przemysł i tp.

MISCELANEA.

Ostatni numer „Revue politique et littéraire“ zamieściła 15 „petitspoemes en prose,“ napisanych przez Iwana Turgeniewa. Są to wylewy chwilowego uczucia znakomitego pisarza, a przeważa w nich znana melancholia autora „Dymu“. Powtarzamy jeden z tych miniaturowych utworów, aby dać poznać czytelnikom manierę pisarza.

III. Odwiedziny.

Siedziałem rankiem przy otwartem oknie. Był pierwszy dzień majowy. Nie płonęła jeszcze zorza, ale ciemna noc ustępowała powoli. Nie powstawały jeszcze mgły, a poranny wiatr nie dmuchał. Wszystko spało w ciszy, ale czuć można było zbliżającą się chwilę przebudzenia, a w powietrzu woniała świeżość rosy. Nagle usłyszałem w pokoju moim coś, niby uderzenie skrzydeł wielkiego ptaka. Zadrżałem i spojrzałem w około. Nie był to ptak. Było to maleńkie, skrzydlate dziewczę, w opiętej, długiej sukni.

Była ubrana w perłowe szaty. Tylko skrzydła jej były zrumienione, niby liść pękającego pączka róży. Wieniec z konwalij otaczał loki jej główki okrągłej, a nad jej czołem wznosiły się i opadały podobnie jak macki u motyla dwa pióra pawie. Przeleciała dwa lub trzy razy pod pułapem. Drobne jej lica uśmiechały się. Nadmiernie wielkie, czarne, błyszczące jej oczy śmiały się także. Podczas wesołego jej lotu oczy te błyszczały jak brylanty. W ręku trzymała długą łodygę stepowego ziela. Moi ziomkowie zwą tę roślinę „berłem carowem". I podobna jest ona w istocie do berła. Kiedy widmo to przeleciało koło mnie jak błyskawica, dotknęło głowy mej berłem. Chciałem ją ścigać, ale wyleciała przez okno. W ogrodzie powitała ją z krzaku bzu turkawka pierwszem swem grzechotaniem, a mleczno-białe niebo zróżowiało z lekka tam gdzie zniknęła.

Poznałem cię, boginio fantazji! Tyś odwiedziła mnie tylko przypadkowo biegnąc do jakiegoś młodego poety. O poezjo, młodości, uroku dziewiczy, i piękności niewieścia — Wy, pojawić mi się możecie tylko na chwilę, z pierwszym promieniem, pierwszego dnia wiosny!...

Madagaskar, wyspa na wschodnim brzegu Afryki, leżąca na uboczu wielkich dróg handlowych, znaną jest zaledwie zawodowo uczonym. Posiada ona zupełnie odmienną faunę i florę od tej, jaka znajduje się na sąsiednim kontynencie tak, że łatwo przyjść do przypuszczenia, iż na Indyjskim Oceanie znajdował się niegdyś stały ląd, którego Madagaskar jest najwyższym szczytem. Także geologia wyspy, typy jej mieszkańców, tychże mowy i obrządki religijne — wszystko to wskazuje na łączność z Azją wschodnią i Polinezją, a kategoryczną niezależność od Afryki. Uczeni dyskutują o Madagaskarze, ale ogół nie interesuje się tą wyspą, o której niedawno jeszcze niejeden nie wiedział, w jakiej części świata się znajduje.

Madagaskar obejmuje 592000 kilometrów kwadratowych, jest zatem prawie tak wielki jak Austrja, ludności zaś liczy mniej więcej 3 do 5 milionów. Większa połowa ludności należy do szczepu Hova, zamieszkującego środek wyspy. Jestto czysty typ; podczas gdy nadbrzeżni mieszkańcy północy i zachodu, zwani Sakalawa zdradzają przymieszkę krwi arabskiej i indyjskiej. Na brzegach dawno osiedlili się już Arabowie i żenią się z córkami krajowców; brzegi zachodnie zwiedzali handlarze indyjscy, Afrykanie prowadzili handel niewolnikami z Madagaskaru. Szczepy na południu i wschodzie, z których najpotężniejszym jest Betsimisaraka najbardziej zbliżają się do Europejczyków i prawdopodobnie są potomkami korsarzy z przeszłego stulecia.

Widać już z tego, że Madagasowie dawno już byli w stosunkach z ludami cywilyzowanemi, a myliłby się ten, ktoby ich chciał na równi stawiać z dzikiemi nowo odkrytych krajów. Przeciwnie posiadają oni cywilizację nie niżej stojącą od Zachodnich prowincyj Chin, a w każdym razie wyżej od cywilizacji Afrykanów, Indjan, i Polinezjan. Oto ich ustrój państwowy. Naczelnik szczepu panuje nieograniczenie; wspierają go w rządach liczni doradcy i urzędnicy, którzy z wyjątkiem nauczyciela nie pobierają żadnej pensji. Ludność dzieli się na trzy klasy ściśle od siebie odgraniczone, które tylko wyjątkowo łączą się małżeństwami. Szlachta to naczelnicy plemion podbitych; mieszczanie są sobie równi, a niewolnicy uważani za członków rodziny, to albo jeńcy wojenni albo indywidua zakupione na targu. Tylko mieszczanie są obowiązani do danin; zresztą nie ma podatków, a każdy jest obowiązany do jakiejś publicznej roboty. Przemysł domowy stoi u nich wysoko; mężczyzna uprawia pole, buduje dom, idzie na wojnę; kobieta zajmuje się gospodarstwem domowem, a w wolnych chwilach sporządza suknie dla dzieci i wyplata maty, któremi zaścielona jest niedylowana podłoga. W ostatnich czasach szczególnie w wielkich miastach podniosła się produkcja i wzmógł się handel z zagranicznymi kupcami. Broni palnej używają od dawna, z wyjątkiem kilku plemion nadbrzeżnych, gdzie są jeszcze w użyciu łuki i strzały. Obrzezanie chłopców jest ogólnym zwyczajem, nie ma jednak znaczenia religijnego; w ogóle pod względem wyobrażeń religijnych Madagasowie nie bardzo wyżej wznieśli się nad prostą cześć amuletów. Mowa i zwyczaje są różne u poszczególnych plemion i nigdzie nie dochowały się w czystości; wszędzie prawie widać obce wpływy. Kiedy zarówno dobrze poznamy leśnych mieszkańców wyspy, jak obecnie znamy prowincje centralne, wtedy da się z tego wysnuć historja wyspy. Starożytni pisarze niejednokrotnie wspominają o wielkiej wyspie obok Afryki, Plinius nazywa ją nawet Cyrne, ale trudno dojść, czy miał na myśli Madagaskar.

W Europie w średnich wiekach nie wiedziano nic o wyspie Madagaskar, a odkrycie jej odnosi się do późniejszego czasu. Marco Polo słyszał coś o niej w swoich podróżach i opowiadał swym ziomkom Wenecjanom o niej i prawdę i fałsze. On to wprowadził na widownię olbrzymiego ptaka Rooka, który do niedawna był uważany za płód fantazji a obecnie jako Aepyornis należy do nauki. Z drugiej strony mówi on o słoniach i żyrafach, których nigdy na wyspie nie było. Pomięszał on Mozambik z Madagaskarem.

Po opłynięciu przylądka Dobrej Nadziei przez Portugalczyków podróżnicy do Indyj niejednokrotnie słyszeli o Madagaskarze, ale żadnemu z nich nie przyszło na myśl odnaleźć tę wyspę i dopiero 1. lutego roku 1506 piszący Europejczyk wstąpił na brzegi tej wyspy. Był nim Fernando Suares komendant floty li prowadzonej do Europy z Indyj z ładunkiem korzeni.

W dzień św. Wawrzyńca tegoż roku odkryto brzegi Zachodnie i nadano wyspie imię świętego, w którego dzień odkrytą została, jak to było wówczas w zwyczaju. Dopiero w sto lat później przywrócono jej właściwe nazwisko. Portugalczycy nie przywiązywali wagi do posiadania tej wyspy, a Holendrzy, którzy po nich przyszli, musieli odpłynąć zdziesiątkowani chorobami. Do 1go wieku nikt właściwie Madagaskarem się nie zajmował.

W r. 1642 Franciszek Canche z Rouen podjął podróż do Madagaskaru, a ogłoszony przez niego dziewięć lat później opis wyspy dał Francuzom sposobność do twierdzenia, że stali się jej właścicielami a błędowi temu dotychczas hołdują. Założyli oni kilka kolonij wojskowych w rozmaitych miejscowościach wyspy, nie miały one jednak wielkiego wpływu. W faktycznem posiadaniu Francji znajdują się tylko trzy małe wyspy: Saint-Marie, Nossibé i Mayotte, liczące razem 25000 mieszkańców.

Cywilizatorski wpływ Francuzów na mieszkańców Madagaskaru nigdy nie był wielki; daleko skuteczniej w tym kierunku działali od r. 1818 Anglicy a manowicie ich towarzystwa misyjne. W tym czasie w stolicy Antananarivo panował król Radowa, jako jeden z najpotężniejszych władców szczepu Hova. Był on przyjacielem postępu, zniósł niewolnictwo i pozwolił spokojnie działać misjonarzom. Po nim nastąpiła królowa Ranawatona, kobieta okrutna, która zniweczyła dzieło męża i podbudziła krajowców przeciw misjonarzom. Jej następca Radama II. został zamordowany za sprzyjanie Europejczykom.

W r. 1863 wstąpiła na tron królowa Rasolesina. Nauczona losem swego poprzednika, nie występowała z początku z ideami postępowemi. Rozsądne jej postępowanie wkrótce wydało owoc, już bowiem w r. 1865 mogła zawrzeć z Anglją traktat handlowy. To utrwaliło stanowisko Europejczyków, wszystkie znaczniejsze familie Madagasów przeszły na chrześcijanizm, a przy sposobności koronacji królowej Ranawalony II chrześcijaństwo uzyskało oficjalne uznanie, a biblja zajęła miejsce amuletu. Następnego roku odbył się chrzest królowej i wszystkich ministrów, a równocześnie założono kamień węgielny pod zamkową kaplicę.

Zwykle postęp idzie od brzegów do środka wyspy, w Madagaskarze przeciwnie. Naprzód przyjęły chrześcijaństwo szczepy w środku wyspy i ztamtąd zaczęło się rozszerzać ku brzegom. Powodem tej jedynej w swoim rodzaju anomalji jest geologiczna formacja wyspy, i wypływające z niej stosunki klimatyczne.

Wnętrze wyspy jest wyżyną 1000—2000 st. wyniosłości, brzegi zaś są płaskie i bagniste. Wnętrze jest urodzajne, ale nie tak, żeby można wyżywić się tam bez troski. Tym warunkom i górskiemu klimatowi zawdzięcza szczep Howa swe siły fizyczne i panowanie nad wyspą. Mieszkańcy wybrzeży są słabi i nie mogą wznieść się wyżej. Stosunki klimatyczne wybrzeży wielce utrudniają kolonizację. Trzeba koniecznie przebyć nadbrzeżny pas kilkokilometrowej szerokości, a wtedy dopiero dochodzi się do okolic, które można kolonizować i w których można szerzyć cywilizację.

Angielscy misjonarze przebyli ten pas, a w ślad za nimi zjawili się Francuzi. Ważnym krokiem było zajęcie wyspy Nossibé, ale z osiadłymi na przeciwległym brzegu Sakalawa nie wiele było można zrobić, a do szczepu Hava trudno było dojść tą drogą. Lepszem jest położenie wyspy Sainte — Marie na wybrzeżu wschodniem. Ztąd francuzcy ajenci w najnowszych czasach byli skutecznie czynni na drodze Antananariva i wyparowali wpływ Anglików.

Treść:

Idea stowarzyszeń.
Wdowiszewski: Intratna posada. (dok.)
Fryderyk Hebel; Ballada o chłopcu na stepie.
Lady Barcker. (kobieta geograf).
L. Jaźminów: Zbrodnia Piotra Michajłowicza.
Dr. K. Hertz: Przejście Wenery (dok.)
Przegląd literacki przez J. Z.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza.

Odszczególnione pięcioma medalami zasługi i listem pochwalnym

niezrównane środki

mianowicie

ANTILENTTILIA

usuwa piegi, opalenia słoneczne, plamy wątrobiane
nadaje twarzy białość, delikatność i przejrzystość. Cena 1 zł.

WODA FIJOŁKOWA

nieporównany środek, usuwa z twarzy **pryszcze, liszaje, trądzki, pierzchnienie i łuszczenie się skóry i wygładza zmarszczki, pory.** Twarz odświeża i nadaje nieporównaną delikatność. Cena 1 złr.

MAGNOLINA

jedyny środek odświeżający płeć, skóra sucha, szorstka i zgrzybiała pod wpływem **Magnoliny** staje się miękką, przejrzystą i delikatną. **Magnolina** usuwa **czerwoność nosa,** niszczy **wągry**, t. j. czarne punkciki, które najwięcej osiadają w okolicy nosa. Cena tego znakomitego **środka** 1 złr. 50 ct.

WODA LILIJOWA

Plamy żółte, brunatne i ostudy z twarzy, szyi i piersi pod wpływem tej cudownej wody po kilkakrotnem użyciu zupełnie znikną. Cena 1 złr. 50 ct.

Orientalina czyli Pudr w płynie

nadaje twarzy prawdziwie naturalną twarz piękną i przyjemną białość, odświeża i konserwuje. Cena 1 złr.

PUDR KSIĄŻĘCY BIAŁY

jest **prawdziwym unikatem w sztuce kosmetycznej,** nie zawiera bowiem w swym składzie ani bizmutu ani ołowiu, ani też żadnych metalicznych pierwiastków szkodliwych zdrowiu, a pomimo tego przyjemnie przylega na twarzy, nadaje śliczną, naturalną i bardzo przyjemną białość i delikatność. Cena pudełka 1 złr.

PUDR KSIĄŻĘCY

cielisto-różowy dla blondynek i **cielisto-żółtawy** dla szatynek i brunetek po 70 ct., 1 złr. 20 ct. i 1 złr. 60 ct.

KREM ORJENTALNY BIAŁY

cielisto-różowy dla blondynek i **cielisto-żółtawy** dla szatynek. **Kremy te czynią zadość wszelkim wymaganiom, nadają bowiem twarzy naturalną białość,** delikatność i przejrzystość, a twarz martwa pokryta bruzdami, nierówno-szorstka, zostaje całkiem odświeżoną i młodzieńczą.

Cena 1 złr. 20 ct.

PILIPTON

włosom siwym i wypłowiałym po kilkakrotnem użyciu przywraca piękny kolor. PILIPTON nie farbuje, lecz tylko odmładza włosy, który pod wpływem tego znakomitego środka odzyskują pierwotną barwę. Cena flakonu 1 złr. 50 ct.

WALENTIN

najsilniejsze **wypadanie włosów** w przeciągu dwóch tygodni **wstrzymuje** cebulki włosowe, wzmacnia i do wytwarzania i porostu włosów pobudza. Miejsca wyłysiałe nieprzedawnione pod działaniem tego środka pokrywają się pięknym włosem. Cały flakon 3 złr. Pół flakonu 1 złr. 60 ct.

NIGRETINA.

Po długiem doświadczeniu udało mi się wynaleść wyborny środek do natychmiastowego farbowania włosów na trwały i piękny kolor czarny lub ciemny; jest on zupełnie nieszkodliwy i w zastosowaniu bardzo prosty. Cena 1 złr. 3571 3-0 4

JAN IHNATOWICZ,

magister farmacji i chemik sądowy.

we Lwowie, ulica Kopernika l. 3, w Krakowie, Sukiennice l. 20.

Najświeższe

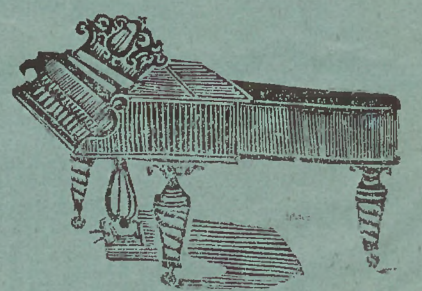
TAŃCE

Br. Rakowieckiego:

„Niebieskie migdały“ walec	.	1 zł. —	ct.
„Ciocia Kizia“ polka	. . —	„ 50	„
„Pocieszny facet“ galop	. . —	„ 50	„
„Vivat semper wolny stan“ polonez		„ 80	„
„Rozmowa Gogątek“ kadryle	. —	„ 64	„
„Na fali“ polka mazurka	. —	„ 50	„

Są do nabycia we wszystkich księgarniach.

Gwarancja lat 10.



Gwarancja lat 10.

FORTEPIANY

z renomowanych fabryk

Hamburgera i Hofbauera

we Wiedniu

ma na składzie i poleca

A. ALSCHER

ul. Akademicka l. 26.

(Strojenia i reperacje **fortepianów i pianin** przyjmują się.)